MARKOWA — KWIECIEŃ 1939

Kobieta Wiejska

NR 1. WYCHODZI RAZ W MIESIĄCU ROK 1

Nasza droga

Ważna i przełomowa w dziejach Polski i chłopów jest chwila, w której żyjemy. Są to czasy wyzwalania się chłopskiej duszy zdzierającej z siebie wszystek kostropaty ślad wielowiekowego niewolnictwa — pańszczyzny. Wre walka o samego siebie, o prawo człowiecze do wolności, do rozwoju, do życia, o lepszy świat.

Coraz mocniejsze idzie wołanie ode wsi.

Chłopi stanowią pewny i twardy trzon narodu.

Chłopi nie tylko żywią, ale dowiedli, że w potrzebie potrafią swoimi piersiami osłonić ojczyznę.

„Z chłopa przede wszystkim ma być Polska".

Nie idziemy ku Niej z pustymi rękami, ale niesiemy do skarbca kultury narodowej wyrosłe w twardym trudzie codziennego życia i miłości do ziemi, nasze chłopskie wartości.

Jesteśmy bogactwem i krynicą sił odrodzeńczych Narodu, które staną się odnową Jego Ducha a życiu zbiorowemu przywrócą rzetelność i prawdę i wypełnią je swoją, świeżą treścią.

Chcemy w Polsce współgospodarzyć, nie z chęci panowania nad bratem, bo ta zawsze była nam obca, ale w imię sprawiedliwości i równości społecznej. I o to słuszne prawo walczyć będziemy, aż do zwycięstwa.

Są w Polsce siły, które boją się chłopskiego przebudzenia starając się na wszelkie sposoby nasz pochód opóźnić, sieją zamieszania w chłopskich szeregach.

My kobiety musimy mieć świadomość rozgrywających się w naszych oczach zmagań i zdarzeń, wobec których nie wolno nam być biernym świadkiem i nie wolno pozwolić używać siebie jako ślepe narzędzie w walce przeciw swoim mężom, synom i braciom. Dlatego ważne jest abyśmy wiedziały jaka droga wiedzie do wyzwolenia chłopów, do wielkości Polski.

Ale za mało jest wiedzieć. Trzeba te sprawy dobrze poznać i rozumieć, bo tylko wtedy możemy o nich mądrze sprawiedliwie decydować. Nasz głos dużo znaczy. Kobiety przecież stanowią przeważającą część społeczeństwa. My więc możemy rozstrzygnąć o prawdziwym postępie życia społecznego, a wiele jest w tym i naszej winy, że ten postęp jest do dziś tak powolny.

My wychowujemy młode pokolenia. Od kierunku jaki nadamy naszym dzieciom, zależy ład społeczny, stanowisko chłopów w Polsce. Dlatego musimy wiedzieć jak wychowywać i jakiego człowieka chcemy wychować.

O jednym nie wolno nam zapominać. To co chcemy zaszczepić w naszym dziecku, musimy pierwej posiadać głęboko ugruntowane w swojej duszy.

Długie wieki poniżenia kobiety zostawiły w nas niestarte do dziś piętno. Niewiara w siebie, przykre uczucie niższości, brak szerszych zainteresowań i wiele przywar naszego charakteru ma swoje źródło w owych setkach lat upośledzenia kobiety.

Dziś zdolne jesteśmy to przemienić.

Nas stać na wysiłek, aby wyplenić w sobie wszystko co jest chwastem, a wyzwolić co w nas piękne, dobre i nasze kobiece. Twórczego, wolnego człowieka, mającego głębokie uczucie miłości społecznej i godności człowieczej, zdoła wychować ta matka, która te wartości umiłowała sama. To będzie nasze najpiękniejsze wiano jakie wniesiemy do życia zbiorowego chłopów i Polski.

Nasz dom, nasza rodzina, nasze radości i troski nie mogą przesłaniać nam spraw innych. Poza progiem swojej chałupy musimy dojrzeć, nie tylko swoje podwórze, ale sąsiada, człowieka, ludzkość, kraj i świat. Od tego co się dzieje w Polsce, czy we świecie, od tego jaki zapanuje stosunek człowieka do człowieka, zależy szczęście moje i najbliższych.

Te sprawy będziemy rozważać i rozjaśniać sobie wspólnie w naszym piśmie po to, aby wyzwalać uśpione siły w duszy kobiety wiejskiej i budzić świadomą wolę działania społecznego, dopomagać kobiecie do stwarzania dobra i piękna w powszednim życiu ludzkim, wypracowy-

wać swój światopogląd, który będziemy urzeczywistniać w każdym czynie, w każdej godzinie życia.

Podnosimy bunt przeciw bierności chłopskiej, bunt przeciw wszystkiemu co krzywdzi, co hamuje rozrost duszy ludzkiej. Chcemy wraz z całą świadoma gromadą chłopską wyjść z ciasnej izby na szeroki świat, wyrąbać sobie drogę do słońca, do swojej doli.

Nie stwarzamy jakiejś nowej organizacji kobiecej, pragniemy przyczynić się do wytworzenia się poważnego wiejskiego ruchu kobiecego, któryby nie zacieśnił sie tylko do spraw gospodarczych i nie zagubił na manowcach obcej wsi polityki i duchowego nijactwa, ale szedł pewnym szerokim gościńcem ruchu ludowego, biorąc udział w jego współtworzeniu, ku demokratycznej Polsce. Ruch ten powinien objąć całokształt spraw kobiet wiejskich i powiązać je jaknajszerzej ze sprawami w Polsce i we świecie.

Dlatego potrzebne jest samodzielne pismo kobiet wiejskich. W poczuciu tej odpowiedzialności i potrzeby pismo niniejsze tworzymy.

Aby sobie tę niezależność zapewnić nie korzystamy z żadnej pomocy z zewnątrz, ale tworzymy je wolą i wysiłkiem najbardziej zainteresowanych kobiet wiejskich.

Gdzie szczęście?

Przyjechała na święta Staszka Steliżanka do domu. Niedawno tu była w Nowy Rok. Ale — jak zawsze tak i teraz zeszli się przyjaciele — ciotki, sąsiadki — z ciekawości co też nowego przywiozła — no i tak — żeby sie Staszką nacieszyć.

Przywozi to już ona zawsze wiele. I każdemu z domowników — a i dzieciom sąsiadów — podarki, a takie — jakby wiedziała — czego tam komu najbardziej trzeba ale nie tylko podarki. Przywozi też wiadomości, nowiny — dobre słowo, radę — każdemu potrzebną i troskę o dom i o wieś całą.

Przecież — dom powiększamy stodoła nowa, maszyna Józki do szycia — matczyne ubrania, ojcowy kożuch — książki najmłodszego Staszka — to za jej ciężko zarobione grosze. Ma, bo ma. Jest nauczycielka w gimnazjum w Warszawie. Ale inne też mają, a nie dbają tak o swoich.

Staszka o siebie nie wiele dba. Co zarobi, do wsi, do swoich przyśle. Przecież niema we wsi takiej sprawy, takiego wysiłku gromadzkiego któregoby Stasieńka najstarsza swoim groszem nie poparła.

A ile biedy tu ratuje, wspiera — o czem nikt nie wie, tylko ona sama i ten — poratowany.

Teraz przyjechała w ważnej sprawie: brat, Michaś chce się uczyć na malarza. Od maleńka bazgrze rudaki na stołach, na zeszytach szkolnych— gdzie się da. W gimnazjum — malował już obrazki, które przemawiały już czemś do ludzi tak, że długo stali przyglądając sie im i widać było— dumali głęboko.

Miał podobno talent.

Bez pomocy siostry — nie mógł nawet marzyć o nauce...

Więc właśnie w jego sprawie wczoraj przyjechała. Zaraz wieczorem przyszła Kuźniarka do niej — z prośbą żeby dziś wieczorem powiedziała coś na zebraniu Koła Kobiet. Już tak zawsze było, że kiedy Staszka przyjechała, a ktoś tam we wsi miał zebranie, kurs — czy przedstawienie, to musiała coś opowiedzieć, poradzić, pomóc.

Najmocniej związana była z dawnemi koleżankami z Koła Młodzieży które teraz gospodyniami i matkami są. One to — w żywe i działające Koło Kobiet związały się i Staszkę o pomoc prosiły.

— — — — — —

Długo wczoraj radzili u Steliżów — w Michasiowej sprawie. Dobrze już po północy było, kiedy zgasło światło w oknach ich chałupy.

Wie nie miała czasu Staszka pomyśleć o tem, coby opowiedzieć towarzyszkom — na zebraniu. Nie rada była z tego. Przygotowywała się zawsze rzetelnie do każdej roboty. Ale co robić, trzeba iść. Trzeba bo dai pomówić o czemś. Może tym razem — same kobiety podejmą jakąś sprawę, może uradza coś wspólnie.

Zeszło się kobiet wiele. Same bliskie, twarze życzliwe patrzące oczy. Przeważnie, młodsze i starsze matki. I kiedy tak rozejrzała się Steliżanka po gromadzie kobiet — przyszła ku niej nowa, dobra myśl.

Zawsze — ona niosła im wieści ze świata. Uważała to za swój obowiązek. Dziś — czyby nie rzucić w tę gromadkę pytania, któreby posiało niepokój, sięgnęło w głąb tych rozciekawionych oczu — i zbudziło ciekawość — nie nowinek i nowin z zewnątrz niesionych, a dobrej nowin w sobie, we własnym życiu, we własnej duszy.

Więc zapytała: — Czegoby każda z nich pragnęła — jako najbardziej pożądanego szczęścia. Do czego, do jakiej szczęśliwości idą — gromadząc się dla tej czy innej idei społecznej — dokąd te idee społeczne zmierzają? Tak poprostu. Co byłoby szczęściem prawdziwem w życiu każdej z nich?.

Niespodziewane pytanie. Chwila milczenia. Oglądania się po sobie i... westchnienia.

Staniecka Marynka wyszeptała: „Żeby nie trza było tyle robić — toby dobrze było"... Wiele głów przytaknęło — i otworzyły się usta Posypały się podobne marzenia...

„Żeby nie trza było cierpieć". Wszystkie to samo. Płynęły słowa szczerze, żywo. „Nie cierpieć i nie robić tyle".

Więc szczęście, to życie bez kłopotów i bez ciężkiej roboty.

Pierwsza powiedziała inaczej Stefka Jamrowa. Starsza już, bezdzietna mężatka.

„Jabym jeszcze więcej robić chciała i kłopotu się nie boję i nocebym nie spała, i też nie żałowała — byle było dla kogo robić i płakać... byle dziecko mieć".

Prawda. Dzieci! Wieczna zgryzota i największa radość? Za Jamrową — jakby nagle obudzona odezwała się Kazia Hołubka: „Mnieby tam i lekki chleb nie smakował i życie bez kłopotu obmierzłoby mi — jakbym widziała że mnie dobrze, a ludzie inne cierpią". I umilkła zawstydzona, bo była nieśmiała i nikt nie słyszał, żeby mówiła w gromadzie...

No więc jakże? Czy życie bez cierpienia, czy życie z celem, dla którego trudy znosić trzeba — daje szczęście?

Posypały się teraz bezładne żale, opowieści, przykłady — uzgodnić się — jakże trudno! Z pomocą przyszła Steliżanka.

Pewnie. — Cierpienie nad siły, praca nad siły — narzucone i bez celu ukochanego — dźwigane — łamią nas. To krzywda. Ale też — co warte życie bez kochania? Bez kochania dzieci, ludzi, wsi swojej, ziemi. Boga?. A jak się bardzo kocha to i cierpieć trzeba. To i trudzić się się trzeba. Czasem — musi się człowiek wyrzec sam swojej wygody, czasem i życia — kiedy przyjdzie bronić, ratować to kochane.

A ta niezgodność? Że Marynka pragnie tego, a Stefka czego innego, a jeszcze inaczej myśli i marzy sobie Kazia — to też nie dziwne. Każda z nas jest inna. Jedna — gospodyni dzielna, inna do rady najlepsza, bo rozumie wiele, jeszcze inna, gdyby uczyła się w szkołach uczyćby umiała innych pięknie — inna wesołością, albo śpiewaniem, albo czemś jeszcze cieszyłaby i budowała życie.

Najważniejsze są dwie sprawy:

Pierwsza to ta, żeby poszukała — każda z nas — siebie. Do czego od dziecka zamiłowanie miała, jak sobie o życiu i świecie myślała sama, bez pomocy innych. Żeby uwierzyć mogła każda z nas, że jest coś warta — i to inaczej jak drugie. Po swojemu. Bo jak uwierzy — to i pewniejsza będzie — nawet wobec dzieci swoich, które w matce zobaczą ważność i siłę.

Druga sprawa — to poszukanie sobie w życiu takiego wzoru, takiego przykładu, do którego każda z nas chciałaby dorosnąć. Nie drugi człowiek żyjący, ale człowiek — taki, jakim według naszego pojęcia powinien być każdy — najlepszy, najpiękniejszy w duszy.

Bo zbieramy się — tak jak nasi bracia i mężowie — i radzimy o lepszym życiu — żeby ludzie mniej cierpieli i mniej ciężko charowali. To jest nasz cel — osobisty i społeczny. A mówimy, iż to się stanie przez demokrację.

Może — kiedy tak pomyśli każda z nas o tem, w czem widzi swoje i ludzkie szczęście, że to bez kochania szczęścia niema, a kochania niema bez trudów i łez — to powiemy sobie: **To za mało dla nas: życie bez kłopotu?**. Chcemy trudzić się, chcemy pracować — nie pożałujemy też — ale dla tego, co same pokochamy, w co same uwierzymy.

I pewnie — krok po kroku, schodek po schodku dojdziemy do tego także, że nigdy nie może stać się i już trwać — szczęście. Bo jak osiągniemy jedno, to pragniemy drugiego. Kto jest głodny, pragnie chleba, kto ma chleb, chce być czysty i dobrze oddziany potem chce książki — albo zabawy — różnie.

Więc ważne będzie teraz: jeśli jedni ludzie od zaspokojenia głodu chleba — dochodzą przez wiele stopni — aż do zaspakajania wielkiego głodu wiedzy, czy dobroci — a inni, kiedy już są syci chleba pragną — wódki a potem już nic nie pragną —

To jakie jesteśmy my? Każda z nas?

Bo demokracja to nie równość w wartości, tylko równe prawo do rozwijania w sobie, do zaspakajania — najlepszych ludzkich uczuć i myśli. Jednego stać na tyle, drugiego na więcej. Wedle miary na jaką zakrojona jest każda ludzka dusza — musi być prawo rośnięcia.

Jeden człowiek ma pragnienia — piękniejsze, dalsze, bardziej społeczne głębsze. Dla tego szczęściem będzie też to, co piękniejsze, dalsze, społeczniejsze, głębsze.

Innego szczęściem — będzie osiągnięcie bardzo małych — nie cennych rzeczy: bo takich właśnie pragnie.

Najniżej pewnie — stać będzie ten kto nie kocha nikogo i nic poświęcić dla nikogo i dla niczego nie umie.

Najwyżej — ten, kto kochając ludzi czy sprawy — umie poświęcić — nawet siebie. Umie cierpieć — dla miłości swojej.

Jeden i drugi osiągnie swoje szczęście.

Jakiego szczęścia—my pragniemy?

— — — — — —

Wracała Staszka do domu z Kasią Hołubką.

Nigdy jeszcze Kasia nie była taka ożywiona — jak dziś. Nie mówiła wiele — idąc, ale twarz jej wyrażała uczucia z głębi duszy dobyte dziś — ta gawędą o szczęściu. W domu — czekała Kasię — bieda. Dzieci czworo — mąż wyrobnik — półtorej morgi ziemi. A jednak — nie pragnęła ona wygody i radości dla siebie — gdyby ludzie dokoła niej — cierpieli.

Rozumiały się ze Staszką:

Jedna — oddawała swoje wygody za radość rodziców starych i naukę młodego rodzeństwa, druga — zdzierała ręce w robocie dla dzieci — którym nie życzyła sytości — na oczach innych, głodnych.

Jedna z nich żyła we wsi — i zawsze w niej pozostanie, druga — w świat poszła, niosąc ze sobą tej wsi serce. Dla jednej i dla drugiej — jedna była droga do szczęścia: — nie omijała ona cierni, nie wiodła przez parki i wygodne ulice bogaczy. Była to droga ciężka, wyboista — udeptana tysiącami nóg bosych — droga która szły tysiące ludzi głodnych — chleba — i Boga.

— — — — — —

Rozstały się — uściskiem ręki.

Staszka długo w noc radziła jeszcze z Michasiem o jego nowym życiu — o jego pracy — i szczęściu.

Zofia Solarzowa



O sprawiedliwy podział pracy

Prawie wszyscy społecznicy miejscy i t. zw. „demokraci“ pragną widzieć kobietę w ruchu ludowym, w spółdzielniach i przeróżnych innych organizacjach — jako czynnego członka tychże organizacji; Woła się także o to, by kobieta wiejska wchodziła do samorządu, jako radny gromadzki i gminny, by poprzez te organizacje wprowadzała lepsze urządzenia społeczne na wsi, ale żaden z nas nie zdobył się na to, by przede wszystkim zastanowić się nad kobietą w domu, poznać jej warunki w gospodarstwie i by się przekonać o możliwościach brania udziału w życiu społecznym wsi przez nasze kobiety.

Przypatrzmy się podziałowi pracy w każdym poszczególnym gospodarstwie na wsi, a zaraz się przekonamy, dlaczego nasze życzenia, co do udziału kobiet w życiu społecznym się nie spełniają. Zadanie to mamy o tyle ułatwione że nie potrzeba by go rozwiązać iść gdzieś na dziesiątą wieś, lecz możemy to uczynić — nawet u siebie w domu.

Świta. Dzień się robi. trza wstawać do roboty, by podołać zadaniom i trudom jakie nas dziś w gospodarstwie czekają. Zawsze pierwsza wstaje żona — matka bo trza nakarmić i wydoić krowy, trza dać świniom chlać, — tu znów kury i gęsi dopominają się o swoje, a często i koniom trza coś rzucić za drabinę, bo przecież ciężka ich robota w polu.

Już prawie zdyszana w pada do kuchni, by ziemniaków nastrugać, wody nanosić, drzewa narąbać i zapalić w piecu, bo przecież trzeba zrobić śniadanie, a wczas, by uniknąć kłopotu z tymi, którzy w tej chwili jeszcze śpią. Po takim rannym wysiłku, który został dokonany — tylko przez żonę — matkę mężczyzna („chłop“) przebudził się, zapalił papierosa i długo zastanawiał się nad tym, czy to nie wina jego żony, że jego ubranie i obuwie, które przed spaniem nie ułożył w jednym miejscu — nie jest mu „napodorędziu“.

Po takiej rannej harówce kobieta idzie w pole do żniwa, kopania ziemniaków lub do innej roboty, której musi podołać na równi z mężczyzną. W południe znowu bieganina, kobieta powtarza ranną „harówkę“, ale dla małych dzieci nie ma już zupełnie czasu, by się nimi zająć. Popołudniu tego samego, co i z rana, trzeba iść w pole ,czy do innej pracy wraz z tymi, którzy mieli czas w południe zapalić papierosa, pogwarzyć ze sąsiadem, a nawet chwilkę się zdrzemnąć. — Wieczorem jeszcze raz musi kobieta przejść całą rzeczywistość w gospodarstwie, z tą tylko różnicą, że trzeba coś zeszyć, wyprać bieliznę, ułożyć dzieci do snu i przygotować co niecoś na jutro do kuchni. Mąż i starsi synowie już dobrze się przespali, a kobieta kładzie się dopiero do łóżka, by jutro o świtaniu być pierwszą na nogach.

Taki kołowrotek życia kobiecego powtarza się co dnia, latem i zimą. W zimie jest tylko ta różnica, że mężczyzna ma więcej wychodów poza dom, zaś kobieta musi być zawsze na posterunku.

Przy takiej harówce kobieta nie zawsze jest czysto ubrana, uczesana, w domu brak porządku, nigdzie nie widać kwiatów, a wychowanie dzieci jest powierzone przypadkowi losu, a przede wszystkim—ulicy. Brak piękna u kobiety, w domu i koło domu, odstręcza domowników którzy w wolnych chwilach wolą spędzić czas na „schodkach“, a tam grywa się w karty i pije się wódkę, z czego wyrasta bandytyzm, złodziejstwo. I cóż z tego, że kobieta haruje, jak koń, kiedy właśnie to „harowanie“ stawia ją poza nawiasem domowego nastroju — szczęścia i życia społecznego. Do takiej zapracowanej i wiecznie dreptającej kobiety nikt się nigdy uczciwie nie odezwie nie pogada, bo sam jej widok i wygląd zewnętrzny do tego nie zachęca, a wszystkiemu temu winna jest ta „babska robota“. (Do „babskiej roboty“ zalicza się: wyrzucanie gnoju, mycie krów, karmienie i dojenie, noszenie wody, zamiatanie i mycie podłogi, rąbanie drwa do kuchni i t. p.). I to jest przyczyna, że kobiety nie biorą udziału w życiu społecznym; przez taki porządek w gospodarstwie kobieta nie ma czasu na czytanie gazet i książek, na branie udziału w zebraniach ludowych, spółdzielczych i samorządowych. Stąd nie dziw, że kobiety w przeważnej większości poza miejscem odpustowym nie znają wcale życia społecznego.

To też odczuwamy ogromny brak zdrowej opinii kobiet wiejskich w życiu społecznym i ogólno-ludzkim, dla tego tak trudno o postęp na wsi, bo mało jest kobiet takich, któreby umiały swoim dzieciom wykształtować duszę; mało jest takich kobiet, jak Maria Skłodowska, która potrafiła być wielką matką i żoną w domu, a jeszcze większą — dla całego świata. — Taki stan rzeczy musi ulec radykalnej zmianie!

Co tu trzeba zrobić?

Przede wszystkim należy przeprowadzić umiejętny podział pracy w domu — w gospodarstwie. Nie istnieją tzw. „babskie roboty“, bo to jest tylko nasz zwykły egoizm chłopski“ (mężczyzn), każdej roboty w gospodarstwie i wdomu musimy się nauczyć i ją wykonywać, ponieważ tego wymaga prawdziwie pojmowana demokracja i nasze szczęście domowe, a sprawa społeczna przede wszystkim, — by nie było tak, jak jest dotychczas. — Przestańmy się wstydzić „babskiej roboty“!, — a wtedy nasze kobiety poświęciłyby na czytanie dobrych książek i gazet więcej czasu na uświadomienie siebie, na wychowanie dzieci i na mądre zorganizowanie domu i gospodarstwa, oraz życia społecznego. Napewno, prawie wszystkie kobiety rozumiałyby się na polityce ludowej i państwowej, pracowały czynnie w spółdzielniach, zakładały dziecińce, a w całej wsi i Polsce zmieniało by się na lepsze. Pod wpływem takich kobiet świat wiejski zmieniłby się nie do poznania.

Takie rzeczy można zaprowadzić przez sprawiedliwy podział pracy w domu i w gospodarstwie.

Zacznijmy o tym mówić!

Piotr Świetlik

Do słońca

Rozgarnij zasłonki na oknie,
wazonki odstaw na stronę —
Zrób drogę— do siebie!
O duszo umęczona
w zapachu mięty i trawy
o łaskawej swej prostocie,
Spłynie na Ciebie słońce
Jasnej, szczerej dobroci.

A nie goń mar!
Niech cicho sączy mięta swój czar
Nie strącaj ros— i nie płosz ptaków o świcie.
Rozgarnij swej duszy zasłonę —
Kroplami słońce sącz —
— w krew i w życie.

Chłopskie dzieciństwo

W końcu ubiegłego roku wydane zostało nakładem Państwowego Instytutu Kultury Wsi czterotomowe dzieło p. t. „**MŁODE POKOLENIE CHŁOPÓW**".

W r. 1936/37 Redakcja pisma p. t. „Przysposobienie Rolnicze" ogłosiła wśród młodzieży wiejskiej konkurs na „opis swego życia, prac, przemyśleń i dążeń". Odezwę tą przedrukowały wszystkie pisma młodzieżowe. Na to wezwanie nadesłano z całej Polski ze wszystkich organizacyj młodzieży 1544 życiorysy w czym były 381 życiorysów napisanych przez dziewczęta. Otóż na podstawie tych życiorysów dr. J. Chałasiński opracował „Młode Pokolenie Chłopów".

Z książki tej można się wiele dowiedzieć o życiu młodzieży co myśli, co czuje, do czego dąży i t. d. Niejeden raz jeszcze do tego dzieła będziemy zaglądać, tyle tam jest poruszonych ciekawych zagadnień, ze nie sposób je od razu w jednym artykule omówić. Teraz zatrzymamy się nad jednym tylko rozdziałem, który nosi tytuł „chłopskie dzieciństwo".

Wiemy jak niezwykle ciekawym okresem życia jest dzieciństwo, kiedy to pierwsze wrażenia i doznania głęboko zapadają we wrażliwą duszę dziecka i mają ogromny wpływ na kształtowanie się charakteru i całej postawy życiowej przyszłego człowieka. Wiemy jak wielkie znaczenie ma stosunek otoczenia do dziecka, nastrój domu, całokształt warunków w jakich żyje i świadomieje dziecko. Nade wszystko ważnym jest dla dziecka stosunek doń rodziców i ich oddziaływanie na dziecko.

Między ludźmi rozmaicie bywa. Są rodzice otaczający dzieci przesadną pieszczotliwością, że dziecko staje się albo zabawką, albo rozkapryszonym wychuchańcem — a w przyszłości nieraz wyrasta zeń egoista, lub niedołęga życiowy. Bywają rodzice, którzy zagonieni troskami, lub głębszych uczuć pozbawieni mało uwagi zwracają na dzieci — „wychowywanie" ich upraszczając sobie zakazem, strachem i biciem. Wskutek takiego postępwania — łatwo wyróść na człowieka nieufnego, zamkniętgo w sobie. Jasnem jest, że jeden i drugi typ bywa jednostką społeczną o małej skali i głębokości uczuć, trudny do współżycia i tworzenia w gromadzie. W jakich warunkach upływa dzieciństwo na wsi? Jaki jest stosunek doń rodziców? Jest ono otoczone miłością, doznaje pieszczot — czy odwrotnie?

Rozejrzyjmy się po swoich sąsiadach i własnych rodzinach, poszukajmy we wspomnieniach osobistych obrazów z dzieciństwa — abyśmy mogły rozwinąć wymianę myśli o tym.

Niżej podajemy kilka wyjątków z życiorysów młodzieży, opisującej swoje na wsi dzieciństwo.

Kamieniem zapadają w duszę słowa oskarżenia i żalu.

Przeczytajcie i napiszcie: Czy wszędzie na wsi tak upływają lata dziecińskie? Czy takie dzieciństwo nie kaleczy duszy na całe życie? I czy nie dałoby się w wychowaniu naszych dzieci zmienić nie jedno?

Zobaczmy

„Lata dziecinne — pisze syn 1-morgowego gospodarza z Rzeszowskiego — upływały mi jednakowo bez żadnych ważniejszych zmian, rodzice starali się o pożywienie i okrycie i dawali mi wychowanie takie jak mogli: matka i babka wyuczyli mię pacierza, t. j. Modlitwy Pańskiej, Zdrowaś, do Anioła Stróża itp. Jak mi późn ej opowiadano, jeszcze w kolebce byłem bardzo zgryźliwym, co ojca bardzo gniewało i kładł na mnie cegły na nakrycie, żebym nie fikał nogami, a gdy trochę podrosłem dostawałem za najmniejsze przewinienie pożądne lanie, przed którym broniła mnie często matka z babką, ponieważ ojciec nie miał umiarkowania, gdy się rozgniewał. Za najmniejsze nieposłuszeństwo, za pobiegnięcie do kolegów czy do sąsiada, oczekiwała mnie surowa kara: oprócz bicia było wiązanie powrozem do ściany, obnoszenie ciężkiego kamienia wokoło domu i t. d."

Nigdy człowiek — pisze syn 16-morg. gospodarza — nie doznał pieszczot matki lub ojca nawet we święto, bo na to nie było czasu, a choć była chwila wolnego czasu to rodzice nie doceniali tego i uważali, że to dla dzieci niepotrzebne. Jedynem mojem rozweseleniem to był ten czas kiedy człowiek wyszedł na drogę czyli na ulicę, i zbiegła nas się gromadka dzieci, a i wtenczas to się zabawiało razem, grając w konika, zająca i t. d. A przytem zabawy odbywały się nieprzyzwoite i bardzo często, a wcale na nas dzieci nie zwracano uwagi.

Ojciec mój — czytamy w innym życiorysie — był surowy na zuchwalstwo dzieci, ja zaś mając dość żywy temperament, lubiał często mimowoli coś zwojować, bom nie mógł usiedzieć spokojnie. To też paskiem od spodni częstom zerwał na plecy i z tego bicia takiej nabrałem do ojca niechęci, żem go nie kochał tak jak mamusi nigdy, a ja się chciał zabawić, a nie miałem tak jak Franek Z. co miał wózek i kółka do puscanio Mamusia za to jak mogła tak nagadzała.

Szczególnie boleśnie odczuwały to surowe obchodzenie się z nimi dzieci słabowite lub upośledzone. Ileż goryczy mieści się w tym oto życiorysie.

— Gdy miałem lat 7 t. j. gdy nadeszła pora chodzenia do szkoły — zapadłem na szkarlatynę, przeleżawszy w łóżku kilka miesięcy — pozostałem na caeł życie kaleką — straciłem słuch. Od czasu utraty słuchu inne życie dla mnie się rozpoczeło. Jedni patrzyli na mnie z odrazą, drudzy z litością, inni znowu szydzili ze mnie, nie wyłączając rodzeństwa, ostatecznie postanowiono, że przydam się bodaj do pilnowania krów lub wyrzucania nawozu, i w ten sposób przyszłość moja została rozstrzygnięta; Skazano mnie niejako na zidiocenie, do stania się bezdusznym bydlęciem, nieczułym na wszystko. Moi rówieśnicy, u których dawniej nie byłem w sympatii, teraz dopiero z zaiste szatańską złośliwością rzucili się na mnie. Bito mnie wszędzie, gdzie się ukazałem, szydzono w okropny sposób, nie mogłem przejść ulica, żeby mnie nie zaczepiono, wołano na mnie w nieprzyzwoity sposób, na migi pokazywano, jak mnie sobie wyobrażają. A starsi i gawiedź, patrząc na to, pokładali się ze śmiechu i zamiast ganić głupich urwisów, jeszcze ich zachęcali i chwalili za to, a byli to nawet poważni gospodarze.

Gdy sobie dziś wspomnę, ile ja wtedy wycierpiałem, ile najadłem się wstydu i wylałem łez, w skrytości pytając: Za co? To wszystko tylko Bogu wiadomem, gdyż ja w żaden sposób tego nie potrafiłbym opowiedzieć. Pogardzany przez otoczenie, uznany za wyrzutka, zmuszany w domu do ciężkich robót, bezustannie bity i maltretowany, jeśli nie zrozumiałem, co do mnie mówiono, jeszcze bardziej stroniłem od ludzi, a samotność stała się wyłączną moją rozrywką. Wrodzona, zdaje się, ciekawość zmuszała mnie w chwilach samotności i goryczy do szukania pociechy w książce i czerpania z niej rozrywki.

Z początku interesowały mnie tylko ilu-

stracje, czytać nie umiałem ani też pisać, dopiero później, sam nie wiem, jakim cudem, nauczyłem się sam, ale to sam sztuki pisania i czytania i wtedy życie moje popłynęło innym trybem. Formalnie pochłaniałem książki, czytałem, gdzie mogłem i kiedy mogłem, nie sposób było mnie oderwać od książki. Ile to z tego powodu trzeba było wycierpieć, bo ojciec stale twierdził, że dostanę pomieszania zmysłów, jeśli będę czytał i zabraniał mi brać książki do ręki. Czytałem zatem pokryjomu lub przy pasaniu bydła. Jednak, ilekroć ojciec przydybał mnie na niedozwolonym czytaniu, sprał co się zmieściło, sprzeklinał, książkę zniszczył, ale żądzy czytania nie zdążył we mnie zniszczyć — robiłem dalej swoje.

W atmosferze wiecznego strachu — pisze syn 14-morgowego gosp. z Łańcuckiego — przed kijem i rzemieniem upłynęły pierwsze lata mego dzieciństwa t. j. do czasu gdy miałem 5 lat i wolno mi było zbijać bąki, chociaż nie zupełnie gdyż miałem poruczone pilnowanie kur, żeby te w szkodę nie lazły. Zimą zaś siedziałem przeważnie w domu, biegać nie było wolno, żeby nie drzeć obuwia, lub się nie zaziębić. Zresztą do kolegów nie bardzo mię ciągnęło, gdyż ci nie omijali żadnej okazji żeby mi dokuczyć, przedrzeźnić, lub wyszydzić, a będąc fizycznie od nich słabszy, nie rzadko stawałem się ofiarą ich wojowniczych charakterów a uciekałem do domu z płaczem, lub sińcami albo z innymi kontuzjami ciała. Wobec takiego traktowania rówieśników z jednej strony, surowości ojca z drugiej strony — stawałem się nieufny, bojaźliwy i wolałem przebywać samotnie. Warunki te uczyniły mnie nad wiek poważnym i skupionym w sobie, a nie swawolnym i psotliwym jak moi rówieśnicy".

Jan Wiktor

Nazwiko to znane jest dziś w Polsce wielu chłopom. Upłynie jeszcze trochę czasu, a będzie znane może każdemu człowiekowi ze wsi. Każdemu gospodarzowi, o ile tylko sprawy wiejskie i ludzkie naprawdę go obchodzą, — każdej gospodyni, której serce matczyne ściska się żałością, kiedy sobie pomyśli, jaka też to będzie przyszła dola jej dzieci, — każdemu młodzieńcowi i każdej dziewczynie, którzy wchodzą z nadzieją w życie i z wielką wiarą, że je zmienią, przerobią, uczynią lepszym i piękniejszym.

Bo Jan Wiktor to człowiek, który tę pracę dla przyszłości podejmuje, który kładzie pod nią tęgie podwaliny, który sercem patrzy w dzisiejszą chłopską dolę i w nadchodzącą przyszłość. Serce, zasmucone do głębi tym co widzi, a bijące dla tego, co ma przyjść, czuje się na wszystkich kartach jego książek.

Jan Wiktor umiłował to, co najbardziej cierpi w życiu i co jest wobec życia najbardziej bezbronne — ptaka i zwierzę i ubogiego człowieka. Jednaka nieraz przypada im dola. Dolę tę wypatrzyły, wyśledziły czujące oczy pisarza, ogarnęło miłujące serce, przejrzał bystry umysł, a wierna ręka przeniosła na papier dla nauki i krzepienia ludzi, dla budzenia ich ze snu, co nieraz gorszy jest od śmierci, bo przynosi upodlenie.

Nie odrazu to, co widział, czuł i chciał powiedzieć, znalazło swój najlepszy wyraz. Wrodzona uczuciowość nie mogła się pogodzić z okrutną prawdą życia i przesłaniała ją mgła jakiejś nieziemskiej dobroci, tkliwością rozczuleniem, które zamazywały jasność widzianych spraw i rzeczy. Ale z biegiem lat krzepł w sobie i zdobywał siły, aby patrzeć w życie już bez mrużenia powiek.

Pierwszym z tego czasu dziełem, chociaż nie zupełnie wolnym jeszcze od dawnych nawyknień, była obszerna powieść p. t. „Wierzby nad Sekwaną". Pokazał w niej pisarz straszną dolę robotników polskich we Francji. Czytając, trudno wierzyć, że wszystko to jest prawdą — tak okropne dzieje roztacza autor przed nami. Mało kto w Polsce, bardzo mało, może nikt nie zdawał sobie sprawy, że rodakom naszym, bliskim naszym, aż tak źle jest na obczyźnie. Z tej książki dowiadujemy się, kto to naprawdę „reprezentował" nas za granicą. Nie tyle placówki dyplomatyczne — ale właśnie robotnik i nędzarz polski, co się zaprzedali w najczarniejszą niewolę i najcięższą pracę za to tylko by mogli żyć, istnieć. O wiele by to było lepiej dla honoru polskiego, gdyby wszyscy nasi ministrowie i wszyscy dyplomaci jadali z prostych misek glinianych, a za to, żeby polskiego chłopa i robotnika wieczyście puste dno ich garnków nie wyganiało na obczyznę. Ale o tym nie wieleśmy wiedzieli przed ukazaniem się książki Wiktora. A z zarobkami, co się śnią każdemu emigrantowi — też różnie bywało. Dał sobie radę jeden, drugi, ale ogół wychodźctwa marniał, nikł, gubił się do ostatka, aż ginął wreszcie po więzieniach, wśród najstraszniejszej nędzy miejskiej. Los kobiet — emigrantek jest jeszcze cięższy, niż mężczyzn

Obecnie powieść ta ukazała się w drugim wydaniu. Autor niektóre rzeczy usunął, uprościł — całość skorzystała na tym, stała się jeszcze dostępniejsza i prawdziwsza. Książki Jana Wiktora mają tę wielką zaletę, że mówią o wszystkim prostymi, zrozumiałymi dla każdego słowami. Może je czytać każdy, nawet najprostszy człowiek.

Przejrzawszy życie wychodźców polskich i rzuciwszy całemu narodowi i rządzącym władzom ostrzeżenie i prawdę w oczy — pisarz zakrzątnął się koło tego, co dzieje się tutaj, u nas, w domu, w ojczyźnie. Z tego patrzenia wyrosła druga powieść p. t. „Orka na ugorze". Dola chłopska — to ugór, wyjałowiony przez biedę, nędzę, głód i ciemnotę. Z nich rodzi się złość i zakamieniałość serc wobec swoich najbliższych, starych rodziców, dzieci nieletnich i dorosłych, żon mężów. Jedynym kwieciem, które kwitnie jak maki na tych ugorach, jest miłość do ziemi. Nieliczni nauczyciele — ideowcy chcą przeorać ten zaniedbany, od wieków zapuszczony grunt. Ale takim nauczycielom trudno być w zgodzie z władzą. Nie tak to, jak oni, patrzy władza na te same sprawy. To też ciężka jest orka na takim ugorze. Ale grunt — stwierdza Wiktor — urodzajny jest i dobry. Ci do których dotarła już oświata którzy spojrzeli dookoła szerzej otwartymi oczami — potrafią dobrze widzieć, co się dzieje i umieją się nad tym zastanowić. Umieją według tego i byt swój polepszyć.

Powieść ta zasługuje na uwagę i dlatego, że talent autora rozrósł się w niej i pogłębił. Wejrzenie w dusze ludzkie odsłoniło jedną wielką prawdę, o którą rozbija się nieraz życie człowieka i niejeden jego najlepszy wysiłek. Oto — każdy człowiek rozumie tylko sam siebie i nie chce, a nieraz nawet nie może zrozumieć innego człowieka. Tę tragiczną prawdę wyraża w powieści gospodarz Biel i jego

rodzina. Nie chcą i nie mogą się zrozumieć kierownik i nauczycielka. Coś podobnego zachodzi też między dzieckiem a ludźmi dorosłymi.— Mały Alojz jedynie u matki i młodej nauczycielki znajduje jakie takie wyrozumienie. Nie rozumieją się też wzajemnie kobieta i mężczyzna, jakby każde z nich zwróciło się twarzą ku innej stronie tajemnicy życia. To głębokie wejrzenie w duszę ludzką jest jedną z najważniejszych zalet powieści, bo mówi nam o człowieku wogóle, bez względu na to, czy jest on chłopem, czy też należy do innej warstwy społecznej, a nawet innych narodowości. Drugą wielką zaletą jest przedstawienie życia w taki sposób, że staje nam ono przed oczami wyraziście, jak żywe, tak w drobiazgach powszednich jak i w wielkich porywach duszy. Zaznaczyć należy, że w powieści widzimy przedewszystkim wieś dawną, taką jaka „była", i jak się wydała oczom pisarza w chwili, gdy zaczyna w niej świtać nowe życie".

Rosnący ciągle talent Jana Wiktora wzniósł się najwyżej w ostatnio ogłoszonym dziele pod tyt. „Od Dunaju po Jadran". Książka ta nie jest powieścią. Zebrał w niej autor wrażenia z wycieczki do Bułgarii, Jugosławii, Rumunii. Niezwykła to książka i zupełnie nie podobna do innych opisów podróży. Jak wszystkie dotychczasowe dzieła Jana Wiktora pisana nie atramentem, ale krwią serdeczną. Przerasta jednak całą jego dawniejszą twórczość dlatego, że teraz dopiero osiągnął on doskonałą formę. Rzeczy opisywane, uczucia pisarza i słowa, które mają to wyrazić, stały się jednością. Nie ma między nimi już żadnego rozdźwięku. Słowo jest jednocześnie najprawdziwszą rzeczywistością i najprawdziwszym uczuciem, obudzonym przez tę rzeczywistość.

A rzeczywistość to godna, żeby ją poznał każdy, a nade wszystko chłopi polscy. Bo Bułgarzy i Serbowie to narody chłopów. Z tej mądrej przenikliwej książki dowiadujemy się do czego może dojść naród chłopski, gdy rządzi sam sobą, ma możność rozwijania się według własnych potrzeb i praw duchowych i umysłowych.

Bułgarzy znają Polskę i kochają ją. Kochają za to, co dała z siebie najlepszego — za poezję polską. Ten naród chłopów zdołał poznać i przyswoić sobie skarby polskie, o których wielka większość chłopów u nas nie ma żadnego pojęcia. Ciężko się przyznać do tej upokarzającej prawdy. Za to — wszystko co widzimy przez oczy Jana Wiktora w Bułgarii i Jugosławii napawa nas otuchą. Dobrą idziemy drogą. — Bracia nasi Bułgarzy i Jugosłowianie, zaśli nią już bardzo daleko. Ta droga, to wiara we własny, chłopski wysiłek to oświata, to książka, to spółdzielczość.

Dzięki książce Jana Wiktora poznajemy tych nieznanych nam, a tak bardzo bliskich, najbliższych braci, dowiadujemy się o tej bliskości dowiadujemy się, że jesteśmy przez nich kochani, czujemy, że sami zaczynamy ich kochać. Bo poznajemy w nich ludzi, którzy wierzą w duchową, moralną wartość człowieka i cenią ją ponad wszystkie dobra materialne, tą wartością kierują się w życiu i dzięki niej właśnie osiągnęli tak piękne i wielkie rezultaty. Gdy czytamy, ogarnia nas chwilami takie wzruszenie, że mamy chęć ucałować karty tej książki tak, jak matki nasze całowały książkę do nabożeństwa po skończonej modlitwie.

„Od Dunaju po Jadran" to dzieło które każdy chłop polski powinien nie tylko przeczytać, ale mieć na własność i od czasu do czasu czytać na nowo. A w końcu nie jeden pozazdrości autorowi i sam zapragnie poznać tę ziemię piękną, te stare ludowe zabytki i ludzi miłych sercu.

Wtedy zorganizujemy wycieczkę chłopów polskich do Bułgarii i Jugosławii.

K. Walczakówna

Ostatnio pojawiła się nowa książka J. Wiktora p. t. „Błogosławiony chleb ziemi czarnej" która zawiera głęb ko ujęte zagadnienie wsi polskiej. O książce tej pomówimy szerzej innym razem. Red.

JAN WIKTOR

Od Dunaju po Jadran

(W bułgarskiej księgarni)

„Gdy przekroczyłem próg, zdziwiła mnie tutaj stosunkowo wielka ilość kupujących. Wśród nich zwraca całą uwagę gromadka dziewcząt, pod przewodnictwem jednej, rej wodzącej. Wsłuchuję się w żywą rozmowę, niewiele rozumiem, ale ruch ich rąk, ale wyraz twarzy wszystko mówią. Dziewczęta przerzucają sterty tomów. Wtedy spadła książka. Wszystkie wzdrygnęły się, jakby ktoś je zranił. Ostrożnie podejmują przewracają karty, czytają urywki, hahaha — wybuchają śmiechem. Krzyczą radośnie. Oglądają rysunki, wypowiadają uwagi. Wymieniają nazwiska umiłowanych autorów, dzielą się szczegółami ich życia, często nic nie mówią, tylko błyskiem rozradowanych oczu i wargami uśmiechają się. W ten sposób wyrażają uwielbienie.

— Angel Karalijczew.

— Znamy, ach jakie śliczne jego bajki.

One żyją książką, zachwycają się nią, przepełnione są jej treścią. Patrząc na nie radowaliśmy się ich szczęściem.

— Może mi objaśnicie, co ta gromada robi — zwracam się do Dinekowa.

— Jedna z tych dziewczyn otrzymywała codziennie pewną kwotę na drugie śniadanie w szkole, oszczędzała i teraz chce nabyć parę książek do swojej biblioteki.

— Dlaczego im pan nie poradzi? — mówię z wyrzutem do Czyjewa.

— Ja? — żachnął się — nigdy tego nie czynię. Same wybiorą najlepiej. Wiem jedno: każda książka u mnie jest dobra, bo plew nie wydaję. A ziarno żytnie, czy pszenne jest zawsze pożywne. Jednemu odpowiada bułka, drugiemu chleb razowy. Trujących chlebów ani bułek nie wypiekam.— zaśmiał się księgarz. — Znam te dziewczyny, wiem, że każda z nich ma bibliteczkę świetnie dobraną.

— To dzieci, pewnie bogaczów — warstw uprzywilejowanych?

— My jesteśmy narodem chłopów i nie wiemy, co to warstwy uprzywilejowane — powiedział twardo. — Szanujemy człowieka i jego wartości. U nas dzisiaj minister kierujący państwem, a jutro pracownik na swoim zagonie, przy swoim warsztacie, spełniający nałożony obowiązek z pożytkiem dla narodu. Cenimy pracę, czyny zdziałane, ale nie to, czy urodzony w jedwabiach, czy na barłogu. Herbów u nas nie ma, bo naszym najstarszym stanem jest chłop. Jego najpiękniejszym herbem i przywilejem jest znojna praca i miłość do ziemi,

walczy też o nią pazurami, a tradycją jego to przeszłość, która była wytrwaniem, mocą w najstraszliwszej niewoli. Każdy z nas dumny z jednego miana: Jestem Bułgarem! Czyż może być piękniejszy tytuł, herb, przywilej? W walkach o wyzwolenie każdy jednako krew przelewał, a przecież śmierć i bohaterstwo zrównało wszystkich wobec ojczyzny i nikt nie zastanawiał się na pobojowisku, czy ta krew płynie z ran biednego czy bogatego, z piersi chłopa, robotnika czy ministra. Z tej krwi zrodziła się chwała dla całego narodu jak i z pracy. W Bułgarii nie ma zasług, każdy spełnia tylko swój obowiązek — po chwilowym uniesieniu spojrzał na nas ujął mnie za rękę i rzekł. — Przepraszam, wyście pewnie innych przekonań.

— Ależ godzę się z każdym słowem. To ja was przepraszam, że zadałem to pytanie, a to dlatego, gdyż w Polsce kupują książki dla dzieci bogatszych, w domach chłopskich i robotniczych jakże rzadkim jest gościem...

— Ta najwyższa dziewczyna jest córką byłego ministra, ta w niebieskiej sukience robotnika fabrycznego, a obok stojąca sklepikarza, a nawet widzę córkę zamiatacza ulicznego. Jednego razu widziałem taki obrazek. W czasie przerwy obiadowej jej ojciec siedział na stopniach schodów, miotła leżała obok, a ta dziewczyna czytała mu książkę. Widocznie przyniosła z domu jedzenie. Obydwoje jednakim wybuchali śmiechem. Tłum ludzki płynął chodnikiem a wrzask ulic w niczym nie przeszkadzał. Każde dziecko — to wszczepia nauczycielstwo — chce mieć własną biblioteczkę, z roku na rok powiększaną i ta biblioteczka jest jakby wskaźnikiem rozwoju od lat najmłodszych do lat dojrzałych, jakby uwarstwienia uczuć wzruszeń i zamiłowań. Z roku na rok wzmaga się u nas ukochanie książek. To pokolenie, które obecnie uczęszcza do szkoły, będzie najwdzięczniejszym czytelnikiem.

— Jakże dawno tego nie widziałem w Polsce — myślę patrząc na rozbawioną gromadkę pochłoniętą czytaniem. —

U nas wciąż jeszcze książka jest arystokratką, u nas matki kupują ją na imieniny, na św. Mikołaja, na gwiazdkę, jako niespodziankę miłą i cenną, ale rzadką, a tutaj hurma wdziera się zaborczo, przerzuca, wybiera, kłóci się, bo książka staje się chlebem, żywiącym duszę codziennie. I tak dla każdego. Dla dziecka jest źródłem najpiękniejszych wzruszeń kluczem otwierającym zaczarowane krainy, dla młodzieży zaś wzorem do naśladowania, dla robotnika pomocą, pokrzepieniem po ciężkiej pracy, budzicielką nadziei, oderwaniem od znoju, dla chłopa dźwignią w rozwoju, świętem i odpoczynkiem".

Matki, nie wydawajcie córek zawcześnie

Bardzo rozpowszechnione jest jeszcze na wsi wydawanie zamąż dziewczat w zbyt młodym wieku. Ledwie to od ziemi odrosło, ledwie co krowy paść przestało i z dziecka w dziewczynę przedzierzgać się zaczyna, a już ją zamąż wydają. Komu to tak pilno? Nie córce, która jeszcze o doli swojej pomyśleć nie zdążyła. Matczyna to pycha, matce spokoju nie daje i córkę — dziecko z rodzinnego domu wygania. Matka cieszy się, że jej córce — choć ma dopiero 16 czy 17 lat, już się kawaler trafia, podczas gdy tyle starszych dziewcząt może i bogatszych zostaje pannami. Wychwala się przed swoimi kumeczkami, jakie to jej córka ma wzięcie, a te gdy są trochę rozsądniejsze i gania ją, to się obraża, nie dając im przyjść do słowa.

Kiedy córka prosi, żeby jej jeszcze nie wydawali, słyszy taką odpowiedź. „A cóż to pomoże ci dłuższa młodość, czy prędzej czy później wyjść zamąż trzeba. Teraz ci się trafia szczęście, a kto wie, czy ci się trafi potym". Dziewczyna, słysząc taką namowę od własnej matki, myśli sobie; „to przecież matka, chyba mi źle nie radzi", i idzie zamąż za tego, którego jej wybrali rodzice.

A potym, po paru latach... ano pomówmy z tymi kobietami, które tak przedwcześnie wyszły zamąż. Jakże one dziś narzekają za to na swoich rodziców, jaki żal żywią do nich w sercach przez całe życie. Niejedna może wyszła za bogatego, zdaje się, że jej niczego nie brakuje, niema powodu do smutków i jest szczęśliwa. A jednak w chwili szczerości zwierzy się nam, że rwie się do tej młodości i wolności jak ptaszek uwięziony w klatce, że podarowałaby cały majątek, aby ino wróciły lata młode dziewczyńskie. Lecz przepadło, minęła krótka młodość prędko, jak ginie kwiat nierozwinięty, ścięty ostrą kosą. Dla większego przekonania matek podam tu przykład swego życia.

Jako 16-letnia dziewczyna byłam jeszcze bardzo dziecinna i nie zdawałam sobie sprawy z życia małżeńskiego. Matka nie uświadomiła mnie, bo bardzo gorliwie dbała, aby córki nie zgorszyć, i na zadawane przezemnie pytania taka mi dawała odpowiedź. „Jesteś jeszcze za młoda na takie sprawy, jak będziesz starsza, to sama się dowiesz".

W tym właśnie okresie mojej młodości, czyli prawdę powiedziawszy mojego dzieciństwa, starał się o mnie 26-letni, a więc o 10 lat odemnie starszy kawaler, syn zamożnej rodziny, mój obecny mąż. Za niego to rodzice postanowili mnie wydać. Byli wprawdzie przyjaciele bardziej rozsądni niż rodzice, którzy zaczęli im odradzać to małżeństwo, mówiąc: „co to, już Wam się córka uprzykszyła, że ją tak wcześnie wydajecie".

Lecz oni głusi byli na wszystko. Mnie chociaż kto co mówił i ganił, to ja sobie niewiele z tego robiłam, tak mnie matka potrafiła przekonać. Mówiła mi zawsze „nie słuchaj ludzi, co ci odmawiają, bo to przez zazdrość, że się tak młodo wydajesz".

Ja, słysząc to, byłam zadowolona i ucieszona, żem taka młoda i już się wydam. Będę mieć wesele zaproszę sobie gości, toż to będzie radości i uciechy... No i tak się wszystko stało. Wesele pyszne sprawili mi rodzice, z czego byłam bardzo rada.

Na swoim...

Ale teraz nastąpiło inne życie, skończyła się młodość beztroska. Wkrótce poszłam na swoje gospodarstwo. Przez pierwsze dwa dni odwiedzała mnie matka i dawała mi wskazówki, jak sobie radzić w różnych kłopotach gospodarskich, a potym cóż mi powiedziała: „Jeżeli chciałaś się wydać, to sobie teraz gospodarz sama" — i zostawiła mnie swojemu losowi. Nie bolała ją głowa o to, czy jestem do swych obowiązków samodzielnej gospodyni przygotowana, czy dam sobie radę. I tak prędko spadł na mnie cały ciężar odpowiedzialności. Nieraz musiałam się dobrze namozolić, aby wszystką robotę czy to w kuchni czy w oborze zrobić jak należ

żało, bo nie miałam ani doświadczenia ani sił.

Mijały dnie, tygodnie i miesiące a we mnie zaczął się budzić jakiś smutek za utraconą młodością. Smutek objawiał się coraz wyraźniej, co sprawiało wielką przykrość memu mężowi, który wszelkimi siłami starał się mnie rozweselić, lecz nie podołał.

Po dwóch latach zostałam matką. Jakże smutno przedstawiała mi się moja dola. Ja, będąc jeszcze sama słabym, wątłym dzieckiem, wydałam na świat dziecko. Po upływie drugich dwóch lat, miałam drugie dziecko — syna. Wtenczas czułam już większe przywiązanie do niego jako matka.

Dziś od chwili mego zamąż pójścia mija już 10 lat, a ja stale jeszcze mam przed oczyma utraconą młodość. I gdy widzę panny w swoim wieku, jakże zazdroszczę im, że one tak długo żyją wśród swobody, gdy ja muszę dźwigać brzemię obwiązków już od tak dawna. Kiedy jakaś znajoma młoda dziewczyna wybiera się zamąż to najserdeczniejszemi słowy tłomaczę jej, ażeby nie spieszyła się do małżeństwa tak młodo. Lecz moje przekonywania nie odnoszą skutku. Podobnie kiedyś ja młoda i nieświadoma życia nie pozwoliłam sobie nikomu odradzić mego wczesnego małżeństwa. Dziewczęta w tym wieku nie zdają sobie jeszcze sprawy z życia i jego ciężarów. Zwracam się więc do was Matki, które przecież kochacie swoje córki i pragniecie ich szczęścia z całego serca, zastanówcie się głębiej nad tą sprawą nie rozporządzajcie lekkomyślnie losem swego dziecka.

Naprawdę jeszcze zawcześnie 16-letniej dziewczynie upatrywać kawalera Wiele jest powodów dla których nie powinna ona jeszcze wychodzić za mąż.

Przedewszystkim jako kobieta nie jest w pełni rozwiniętą, jeszcze rośnie; nie pora, aby zostawała matką. Kobieta jest dopiero dojrzała, gdy ma 21—22 lat. Zbyt wczesne macierzyństwo jest bardzo niebezpieczne dla dziewcząt wątłych, słabo zbudowanych i zagrożonych gruźlicą. Wiemy, jaka to harówka czeka młodych na dorobku. Nie tak to łatwo dojść do jakiego takiego gospodarstwa, wystawić choćby najlichsze pobudynki, jeśli się od rodziców na zapomożenie otrzymało bardzo niewiele. W takich warunkach kiedy jeszcze trzeba wykarmić jedno i drugie dziecko, to tak się wyczerpie młody słaby, źle odżywiany organizm że łatwo się go chwyta gruźlica, albo zostaje taka kobieta cherlakiem na całe życie. A ileż to młodych kobiet osierociło z tego powodu swoje maleństwa.

Poza tym zapasem zdrowia jakie trzeba wnieść do małżeństwa, musimy córce naszej dopomódz rozwinąć się umysłowo i duchowo, na pełnego człowieka, oraz przygotować się do obowiązków i trudów życiowych.

I na to jest czas młodości, którego nie wolno zmarnować.

Zastanawiajmy się nad tym i dzielmy się swoimi myślami w naszym piśmie.

Markowa. Młoda matka.

Kto ma prowadzić dzieciniec

I

Niedługo otworzymy dziecińce letnie. Już czas zacząć przygotowania. Jedną z pierwszych i największych trosk, która co roku staje przed nami to pytanie, kto będzie wychowawczynią w dziedzińcu? Przekonałyśmy się już, że to nie łatwa sprawa znaleźć kogoś odpowiedniego.

Do tej pory kandydatek na kierowniczki naszych dziecińców szukałyśmy w mieście. Czasem gdzieś na wsi znalazła się córka gospodarska: nauczycielka bez posady, maturzystka nie mająca środków na dalsze kształcenie. Ale to były wypadki rzadkie, ponieważ mało jest dziś w średnich szkołach młodzieży ze wsi, a dziewczęta należą do wyjątków.

Uwierzyłyśmy w miasto. Przecież tam więcej dziewcząt się kształci, jest więc w czym wybierać. Młode dziewczyny, bezrobotne absolwentki różnych szkół zawodowych, czasem uczennice gimnazjum, mające wolne wakacje, albo i takie, co z różnych względów przerwawszy naukę, siedzą bezczynnie w domu, bez żadnych widoków na przyszłość, przeszkalano na krótkich kursach, a nieraz i bez żadnego przygotowania obsadzano na stanowiskach wychowawczyń naszych dzieci.

Jaką wartość przedstawiają one w pracy, co wnoszą? Stwierdzić trzeba, że spotkało nas rozczarowanie. Na ogół (o wyjątkach nie mówimy), nie wywiązywały się należycie z powierzonych im obowiązków. Dlaczego? Wiele było powodów. Wyrosłe w mieście, swój pobyt na wsi traktowały jako zło konieczne, w głębi duszy żywiąc dla chłopa — „chama" niechęć i pogardę, zaszczepioną im przez mające się za coś lepszego od chłopa małomiasteczkowe kołtuństwo.

Nie znały wsi i nie starały się jej poznać, bo nic ich wieś nie obchodziła. Pracę swoją traktowały jako chwilowe zaczepienie, tymbardziej, że mogłyśmy je zatrudnić tylko na okres



1½ — 3 mies. Przeważnie nie mając wrodzonego zamiłowania i umiejętności postępowania z dzieckiem, nie przykładały się zbytnio do swych obowiązków, robiąc tylko tyle, co było konieczne. Praca ich polegała głównie na dozorowaniu dzieci. W życie naszego dziecka nie wnosiły głębszych wartości poza tresurą towarzyską, polegającą na tym, że dziecko umie się ładnie ukłonić, mówić: proszę, dziękuję, przepraszam i t. p.

W naszych dziecińcach główny nacisk kładzie się tylko na dożywianie dzieci i na zapewnianie im opieki. To za mało. Dzieciniec w życiu dziecka chłopskiego ma do spełnienia jeszcze jedną, niesłychanie dla nas ważną rolę. Musi stworzyć dziecku jak najlepsze warunki wychowawcze, pobudzić je do myślenia, kształcić jego uczucie, rozwijać zmysły itd. uzupełnić niejednokrotnie braki albo i błędy wychowania rodzinnego.

Nie prędko jeszcze dojdziemy do tego, aby wszystkie nasze dzieci mogły korzystać z przedszkoli, gdzie będą wykwalifikowane wychowawczynie. Za to już dziś jest możliwe wszystkim dzieciom dać odpowiednią opiekę wychowawczą w dziecińcu.

Dziś już dużo jest dziecińców, a będzie ich jeszcze więcej, przeto paląca staje się potrzeba dobrych wychowawczyń. Na miasto nie możemy liczyć. Co więc robić?

Uwierzmy w siebie! Stać nas już dzisiaj na to, aby tę sprawę rozwiązać własnymi siłami.

Nie chcę być gołosłowną, a powołam się na skromne doświadczenia w naszej okolicy.

Zeszłego lata w Markowej i okolicznych wsiach założyliśmy 7 dziecińców letnich, w oparciu wyłącznie o własne siły wsi. Nie korzystaliśmy z żadnych zasiłków, a wychowawczyniami były dziewczęta ze wsi, czynne członkinie kół młodzieży, niektóre z nich miały poza tym ukończoną szkołę rolniczą w Albigowej albo Uniwersytet Orkanowy w Gaci.

Wiele było początkowo obaw ze strony matek, czy taka Cęsia lub Stefcia, którą przecież znają od maleńkości, pamiętają jak krowy pasła, — potrafi dzieciniec poprowadzić. Nie będą jej dzieci słuchać, bo ją znają, bo jej mówią po imieniu — turbowały się kobiety. A możeby kazać dzieciom nazywać ją jakoś inaczej np. opiekunko i wysuwały się projekty. Stanęło na tym, że ma być jak było dotąd. Jest Stefcia czy Hela i koniec! Przez tę bezpośredniość będzie dzieciom bliższa, będzie między nami jak starsza siostra. A i siostrę chętnie przecież dzieci słuchają, jeśli ją lubią.

Tak zaczęliśmy.

Dziewczęta zabrały się z zapałem do roboty, pragnąc przekonać matki że się na nich nie zawiodą. Dziecińce były pod opieką lekarską i fachową Spółdzielni Zdrowia. Przy pierwszym dziecińcu odrazu zorganizowałyśmy krótki kurs dla naszych wychowawczyń. Po za wykładami teoretycznymi, obserwowałyśmy dzieci i przeprowadzałyśmy z nimi praktyczne ćwiczenia gry itp. Ten pierwszy nasz dzieciniec urządzony był wzorowo, aby mógł służyć przykładem dla pozostałych.

Duży nacisk położyłyśmy na samokształcenie. Po pomoc sięgnęłyśmy do książek. Od razu założyłyśmy wspólnym wysiłkiem Kół Kobiet ze wsi sąsiedzkich rejonową biblioteczkę. Gromadzimy w niej książki z dziedziny wychowania i psychologii dziecka, oraz książki potrzebne nam w pracy z dziećmi jak: bajki, opowiadania, śpiewniki, roczniki pism dziecięcych, wreszcie gry kształcące zmysły i myślenie dziecka. Gry te służą nam jako wzorce, na podstawie których obmyślamy i wykonujemy podobne. Z biblioteczki korzystają dziewczęta prowadzące dziecińce w okolicznych wsiach. Ciągle ją powiększamy bo i potrzeby rosną.

W czasie trwania dziecińców odbywały się konferencje wychowawczyń, na których omawiano przeczytane książki, dzielono się doświadczeniami, wyjaśniano wspólnie rozmaite trudności w pracy i t. p.

Stwierdzić należy, że dziewczęta zdały egzamin. Dziecińce wypadły nadspodziewanie dobrze, ale praca nasza nie skończyła się z ich zamknięciem. Prowadzimy ją dalej przez całą zimę, tylko w zmienionej formie. Zostają wciągnięte do współdziałania Koła Młodzieży i One tu głównie są czynne.

Organizujemy dzieciom uroczystość św. Mikołaja, przyczem dziewczęta przygotowują różne drobne upominki najbiedniejszym. Najmłodsi t. zw. Przedkole urządzają specjalne przedstawienia dla dzieci. Na przedwiosenne zaś wieczory przygotowuje młodzież zabawki i gry do dziecińców.

A ileż szczerego zapału wkłada w tę pracę, widzimy więc, że młodzież nasza wykazuje duże zrozumienie dla spraw dziecka na wsi, może

SPÓR

(*bójka*)

Spierali się ludzie radośni
z ludźmi żałości pełnymi:
„Czy więcej jest szczęścia i słońca
czy też bólu jest więcej na ziemi" ?
Czy można nienawidzieć,
czy też kochać można goręcej?
Czy więcej jest złotych uśmiechów
czy złotych łez jest więcej?

*

I uradzili na wagę
ogromną i sprawiedliwą
położyć ludzką dolę
szczęśliwą i nieszczęśliwą...
Na prawo wszystkie radości,
— ile ich tylko się zmieści! —
na lewo wszystkie smutki,
tęsknoty i boleści...
Na prawo wszystkie uśmiechy,
nadzieje, miłości i wiary...
Na lewo wszystkie cierpienia
bez końca i bez miary...
Na prawo wiosna i wolność —
i bór i pole i rzeka..
Na lewo: złe moce miasta
i wszystek jad człowieka

*

Kiedy zebrano już wszystkie
ludzkie wesela i żale —
o dziwo — na jednym poziomie
stanęły obie szale...
porówno było wiosen
i porówno było jesieni...
i równie dużo ciemności...
co najjaśniejszych promieni...
I tyle było dobroci
co nikczemności i grzechów
I tyle było łez złotych,
co i złotych, radosnych uśmiechów..

*

Gdy się zdawało, że niema
radości i smutków już więcej,
na prawej szali Anioł
położył: Uśmiech Dziecięcy...
I szala ludzkiego szczęścia
zniżyła się aż do ziemi...
I podniosła się szala smutków,
jakby smutki nie były smutnemi...

Juljan Ejsmond.

wnieść wiele radości i uśmiechu w jego smutne dzieciństwo, trzeba ją tylko umieć wciągnąć do współdziałania. Pamiętam kiedy otwierałyśmy pierwszy dzieciniec w Markowej i borykałyśmy się z różnymi trudnościami, Koło Młodzieży zakupiło nam pierwszą a tak niezbędną książkę rocznik „Małego Płomyczka“ pisemka dla dzieci. To był zaczątek naszej biblioteczki.

Dziś mamy już wiele wyrobionych uspołecznionych naszych córek, które zdolne są poprowadzić dziecińce.

Nie szukajmy w obcych środowiskach, niech nam nie imponuje ufryzowana główka, gładka mowa i szyk miejskiej panienki, jeśli poza tym kryje się płycizna duchowa. Nasze dziewczęta są zdolne poprowadzić dziecińce. Trzeba im tylko pomóc przygotować się do tej pracy przez organizowanie odpowiednich kursów i praktyk w dziecińcach, zakładanie biblioteczek pedagogicznych i t. p.

Zdobywając wiedzę o dziecku, ucząc się kierować jego rozwojem, wnoszą do pracy zamiłowanie i poczucie odpowiedzialności. Ich stosunek do dziecka oparty jest na głębokim podłożu uczuciowym i ideowym. Łatwiej im wniknąć w duszyczkę dziecka, odczuć jego potrzeby, bo mają gorącą chęć przyjść mu z pomocą, bo je znają, bo jest im bliskie.

W przyszłości, kiedy zostaną matkami będą inaczej piękniej chować swoje dzieci, szerząc dobry przykład w otoczeniu. Te wartości i doświadczenia jakich nabyły, zostają na wsi i wzbogacają nasze życie społeczne, podnoszą poziom wychowania dziecka chłopskiego.

Idąc po tej drodze same będziemy później umiały organizować opiekę nad dziećmi i nie trza będzie wyglądać jak dziś, aż ktoś przyjedzie i pomoże czy pokieruje.

Wybierając na wychowawczynię swoją dziewczynę unikamy ryzyka, że możemy zrobić zły wybór. Wyrosła wśród nas przecież znamy ją, przeto łatwiej możemy zorientować się, czy nadaje się na to stanowisko, czy też nie. Natomiast angażując kogoś z miasta mamy trudności w zebraniu opinii o kandydatce i dlatego to taki często spotyka nas zawód.

Jest jeszcze jeden pożytek. Ponieważ jest to dziewczyna z naszej wsi, ma więc mieszkanie i utrzymanie w domu rodziców, może się więc zadowolić mniejszą opłatą, której wysokość np. u nas nie przekraczała 30 zł mieś. Obtania to koszta prowadzenia dziecińca co jest ogromnie ważne. Nas nie może zadawalniać, że na powiecie mamy 15 czy nawet 30 dziecińców, musimy wytrwale dążyć do tego, **aby wszystkie dzieci na wsi przynajmniej przez lato znalazły się w dziecińcach. Dziecińce ze względu na to, że mają do spełnienia ważną rolę wychowawczą winny być prowadzone jaknajdłużej t. j. od 1 maja do 1 października.**

Stanie się to możliwe wtedy, kiedy prowadzenie dziecińców obejmą dziewczyny wiejskie.

H. Ciekotowa



Wiosna idzie

Mały pierwiosnek główkę podnosi: Czy to już wiosna? Powiedźcie - prosi. - Żabki kochane, powiedzcie - że mi, czy to już wiosna chodzi po ziemi.

— To wiosna! żabki rechoczą w stawku.

— To wiosna! Wiosna! szeleszczą trawki. Bocian po łące błyszczącej rosą nad staw szumiący wędruje boso.

Otworzył złote oczko pierwiosnek:

Powiedz mi, boćku, czy to już wiosna?

— Tak, tak!—klekoce bocian donośnie. — Rozchyl już płatki! Pokłoń się wiośnie!

Z „Małego Płomyczka“

Święcone.

Cała wieś szykuje. A w małej chałupce na końcu wsi nikt się nie krząta. Mieszka tam babcia. Babcia Jest bardzo stara i mieszka sama samiutenka.

Dzieci bardzo ją lubią. Babcia tyle pięknych bajek zawsze naopowiada!

Dzisiaj też biegną dzieci do babci. Zaglądają przez okno.

— Patrzcie, jaka babcia smutna—szepce Mania. — Nie wchodzimy do niej!

— A może się smuci, że nie będzie miała święconego?

— Domyślała się Zosia.

— Urządzimy babci święcone!

— Urządzimy! Urządzimy!

Dzieci biegną do domu. Każde z nich prosi swej mamy o co innego. Jedno stara się o parę jajek, drugie o kiełbasę, trzecie o kawałek mięsa i placka.

Układają jadło na talerzu. Przybierają barwnikiem. Niosą do chałupy, w której ksiądz będzie święcił. Wsparta na kiju siedzi babcia w domu. Naraz słyszy tupot nóg. Do izby wchodzą dzieci ze święconym.

— Co to? Co to?—dziwi się babcia — Dzisiaj nie będę wam opowiadała bajek. Idźcie do domu.

— Babciu, przynieśliśmy święcone dla babci, mówią dzieci. Babcia uśmiecha się z radości. Babcia już teraz nie jest smutna.

Z „małego płomyczka“

Kachna
(piosenka)

Przyjdą goście ze świata
Kachna izbę zamiata,
szuru, szuru, szur, szur, szur
Jest tych śmieci pełen wór.

*

Przyjdą ciotki i wuje
Kachna kaszę gotuje,
kipi, kipi, war, war, war,
stoi kaszy pełen gar.

*

Przyjdzie dziaduś zdaleka
na obiadek zaczeka,
zaciereczki, krusz, krusz, krusz,
goście byli poszli już.

*

Kto Kasieńce pomoże
zmywać łyżki i noże.
myju, myju, chlup, chlup, chlup
Kachno sama wszystko zrób.

K. KOMARSKI

PROMYKI

Były sobie dwa promyki. Jeden złoty, drugi srebrny. Bracia stryjeczni.

Ojcowie ich, Słońce i Księżyc, kochali się jako bracia serdecznie. Ogromnie miłe były te Promyki. Wesołe to było, a żywe, a zimne a dobre.

Roboty miały co nie miara.

Złoty, ledwie się z pierwszym brzaskiem obudził, już na złamanie karku pędzić musiał do kurnika, żeby kury i kaczki pobudzić, stamtąd szedł do stajni przywitać się z siwkiem, wykąpawszy się po drodze w strumyku, aż się iskry sypały po wodzie. Potem przez wąziutką szparkę w okiennicy przeciskał się do pokoju swego wielkiego przyjaciela Józia i psoty mu po nosie skakał, aż się Józio obudził.

Ale nie same figle go się trzymały. Trzeba było wisienkę dobrze zarumienić, żeby ładnie dojrzała, wróbelki małe ogrzać, kiedy je matka na chwilę z gniazdka odleciała, mgły na łące rozpędzić, siano suszyć na pokosie. To znowu dzieci z małej niskiej izdebki prosiły żeby je choć na chwilę odwiedzić, to znów panu nauczycielowi trzeba było przy tablicy w szkole świecić. Było tej roboty na cały dzień. A kiedy wieczorem, zmęczony złoty Płomyczek szedł spać spotykał się ze srebrnym i zawsze choć na chwilę, czy to na przyzbie przed chatą, czy na czubku drzewa w lesie czy przy łąkowym strumyku siedzieli razem, opowiadając sobie co widzieli i co zrobili.

Bo i srebrny Płomyk też miał dużo do roboty, a więc i do opowiadania.

Czy to sowie w oczy spojrzeć i nagłym ją blaskiem oślepić, kiedy biednego czyżyka już, już miała schwytać, czy zbłąkanemu po nocy drogę pokazać, czy czasem z figlów śpiącą wiewiórkę obudzić, albo wronę co potem do białego dnia zrzędziła, że zasnąć nie może. Najwięcej jednak czasu spędzał srebrny Płomyk przy dziecinnych łóżeczkach.

Zakrada się po cichutku, przycupnie na poduszce przy samym uszku, długą srebrną nitkę za sobą wyciągnie i dalej że dziwy opowiadać o grubasku Skrobigarnku, o małej Marysi, co dwa serduszka miała, o szklanej górze i o żelaznym wilku.

Lubił srebrny Płomyk siedzieć i przy chorych dzieciach i prószyć im na oczki zdrowy, rzeźki sen, żeby i mamusia co wciąż przy łóżku czuwa i dziecinę za rękę trzyma, też odpocząć trochę mogła.

Siedzi tak czasem srebrny Płomyk aż do rana i ma wtedy dużo złotemu do opowiadania jak się z nim zejdą na gawędę.

Aż pewnego wieczoru złoty Płomyk na spotkanie nie przyszedł. Co się też srebrny na szukał, na martwił, na tęsknił... Przepadł złoty Płomyk nie ma go i nie ma. Czy się w studni utopił, czy go rybki w niewolę wzięły, czy w leśnej gęstwinie zabłądził, czy w powojach w zbożu się zaplątał, czy na kamieniach gdzie rozbił? Niema i niema...

Aż tu kiedyś, wędrując przez cicha, uśpioną wioskę, w chwili, gdy miał stojącą na skraju ubożuchną chatkę kowala, tknęło go coś, żeby do tej chatki zajrzeć.

...W izbie ciemno było coprawda, ale Promyki wszystko wszędzie widzą, od tego są Promykami; — widzi tedy opałkę na sznurach u pułapu wiszącą, a w niej na garści siana śliczne, nowonarodzone dzieciątko leży. Matula siedzi na ławce, kołysze, piosenkę nuci a maleństwu już się oczka do snu kleją.

Wytrzeszczył Płomyk oczy z całej siły i widzi, że tam pod koszulką, w serduszku maleństwa, jego najserdeczniejszy przyjaciel, złoty Płomyk siedzi, skulony w dziesięcioro jak motek złotej przędzy.

— A ty co tu robisz?

— Ano widzisz, przechodziłem tedy, jak się ten szkrab urodził i tak mi się na widok tej biedy serce ścisnęło żem nijak tej chałupinki minąć nie mógł. A jakem raz wszedł i takie śliczne, czyściutkie mieszkanko znalazł, już nie chciałem się więcej ruszać tak tu miło i dobrze. Chodź i ty tutaj.

— A dobrze.

I wprowadził się srebrny Płomyk do dzieciątkowego serduszka. I już odtąd nie rozstawali się nigdy ze sobą i tak im tam było dobrze, aż hej!! I tylko się później Jaś — bo dziecinie Jaś na imię dali — ogromnie dziwił zawsze, skąd mu tak w serduszku jasno.

A to te Promyki tak świeciły.

Wyszedł spod pierzynki.

Wyszedł spod pierzynki
śniegowej zagonek
i wygląda wiosny
z tej i tamtej strony.
Leżał, odpoczywał,
pod śniegiem spał długo,
zatęsknił do wiosny,
zatęsknił do pługa.
A nad tym zagonkiem
śpiewają skowronki
i niebo błękitne —
I sasanki kwitną...
Spod głogowych
krzaczków
wyjrzały szaraczki
Nastawiły uszy
nosek im się rusza
Kwitną złote bazie
przy polnym przełazie.
A górą wysoko,
na białych obłokach,
nad polem zoranem
kołują bociany.

Z „Małego Płomyczka"

Miała Magda indorka

MIAŁA MAGDA
INDORKA
WSADZIŁA GO
DO WORKA.
JAK GO NIOSŁA
DO MIASTA
UCIEKŁ INDOR
I BASTA.
SPRZEDAŁ ZA GROSZ
WORECZEK
KUPIŁ SOBIE
CZEPECZEK.
DZIWILI SIĘ
LUDKOWIE
INDYK W CZEPKU
NA GŁOWIE.

Jak radzono o naszych pociechach

A za naszą Markową
hej jarzębinę sadzą,
nasze wiciareczki
tak sobie dzisiaj radzą.
Oj radzą, one radzą
że jest robota nowa,
że dziecko maluśkie
samo się we wsi chowa.

Rozbrzmiewała w pewien lutowy ranek izba, śpiewem dziewczyn i kobiet. Wzruszenie ogarnęło wszystkich. Oczy w zamyśleniu spoglądaiy po tych ścianach bielonych Antosinej chałupy, przystrojonych dziś tak uroczyście i wesoło. Zapatrzyliśmy się na te wystrzyganki kogutków, pawi, itp. cudaków i zdaje nam się, że jesteśmy w dziecińcu, że ino patrzeć, a wtargnie tu churma roześmianych szczęściem dziecek. I śpiewające smutne słowa piosenki...



Jedno za matką płacze,
a w polu jest robota,
drugie na gościńcu
i matki nie woła,
bo to przecież sierota...

Cieszymy się w sercu, że przecie nareszcie zaczyna być inaczej...

Ubiegłego lata przy pomocy Spółdzielni Zdrowia w Markowej miejscowe Koła Kobiet założyły kilka dziecińców letnich, które prowadziły koleżanki z Kół Młodzieży — wiciarki. Na początku wiele było radości, najlepszych chęci, ale i wiele trudności do pokonania. Przezwyciężyliśmy wszystko i dziecińce udały się. Zainteresowanie i zrozumienie dla tej sprawy wzrosło we wszystkich okolicznych wsiach. Postanowiono wszędzie, że nadchodzącego lata również dziecińce być muszą, że założymy ich więcej i już na przedwiośniu zabrałyśmy się do roboty. W końcu lutego Spółdzielnia Zdrowia zorganizowała w Markowej kurs dla tych dziewcząt, które już albo prowadziły albo dopiero będą prowadzić dziecińce letnie. Zjechały się na ten kurs Koleżanki i delegatki Kół Kobiet z 10-ciu okolicznych wsi, razem 90 osób.

Zagajając nasze rozważania ob. H. Ciekotowa mówi jaki cel będzie nam przyświecał w naszej pracy dziecińcowej. Wielki wpływ na rozwój duchowy człowieka i całe jego życie ma okres wczesnego dzieciństwa. Czas ten niestety w wychowaniu dziecka na wsi jest niewykorzystany. Dziecko przychodzi do szkoły zahamowane w swoim rozwoju mimo, że wieś ma bardzo sprzyjające warunki wychowawcze. Dlatego też dziecińce nasze muszą spełniać podwójną rolę: zapewnić dziecku opiekę gdy matka jest zajęta pracą w gospodarstwie, a równocześnie muszą stwarzać jaknajlepsze warunki dla rozwoju duchowego i umysłowego dziecka, i nad tą ostatnią sprawą będziemy radzić na naszym kursie.

Pierwszy prelegent prezes Spół. Zdrowia ob. I. Solarz zastanawiał się nad tym co dobrego lub co złego jest we wsi w rodzinie chłopskiej i jak to wpływa na wychowanie. W prostych i pięknych słowach przedstawił nam jak wielki wpływ na kształtowanie się uczucia, myślenia ma ten bogaty wspaniały świat przyrody w jakim żyje człowiek i rozwija się dziecko na wsi. Jak wiele w wychowaniu znaczy oddziaływanie w rodzinie i jakie to ważne jest, aby ta nasza rodzina wiejska była jaknajbardziej wartościowa. W końcu rozważaliśmy do jakiego ideału mamy zdążać w naszym wychowaniu, jakiego człowieka pragniemy wychować.

Patrzymy wzajemnie na siebie. Czy podołamy? Wzruszenie i głębokie przejęcie malujące się na twarzach zasłuchanych Koleżanek mówiło, że rozumiemy odpowiedzialność jaka spada na nasze barki.

Pierwszy dzień kursu dostarczył wszystkim wiele przeżyć. Ze słowami piosenki,

Uśnij, że mi uśnij
Matula cię uśpi,
a tatuś obudzi
pójdziemy do ludzi...

rozchodzimy się do domów.

Drugiego dnia del. Związku Naucz. Polskiego z Warszawy p. dr Wachtel mówił o rozwoju duchowym dziecka w wieku przedszkolnym. Szczególnie z wielkim zainteresowaniem słuchały jego wykładów matki, które miały różne wątpliwości co do postępowania ze swoimi dziećmi. W dyskusji zasypywały prelegenta pytaniami, na które dr Wachtel odpowiadał chętnie i wyczerpująco. Pierwsze to było chyba w dziejach wsi zetknięcie się bezpośrednie ludzi pracujących naukowo nad zagadnieniem dziecka, z matką prostą kobietą wiejską. Dowiedziałyśmy się, że jeżeli chodzi o badanie duszy i rozwoju dziecka wiejskiego, to nic w Polsce w tym kierunku jeszcze nie zrobiono. To jest ważna sprawa, która dojrzała aby ją podjąć. Snułyśmy nieśmiałe myśli, że może i nasza pomoc na coś by się zdać mogła.

Nie spostrzegłyśmy a tu już 3-ci dzień kursu. Przybyła nowa prelegentka też del. Związku Naucz. Polskiego p. Kaczmarczykówna. Z nią omawiamy sposoby jakimi prowadzić należy pracę w dziecińcu, aby dziecko jaknajbardziej rozwijać, pobudzić do myślenia itp. Zwiedzamy wystawę urządzoną dla kursistek przez markowskie dziecińce. Tutaj zobaczyłyśmy jak powinno wyglądać wzorowe urządzenie dziecińca, obejrzałyśmy prace ręczne dzieci wykonane zeszłego lata w dziecińcu jak wycinanki, rysunki, ulepianki z gliny itp. Ob. H. Ciekotowa zapoznała nas

z książkami, które mogą nam być pomocne w samokształceniu i w pracy z dziećmi. Przed wieczorem przedkole w Markowej urządziło przedstawienie dla dzieci. Wybrałyśmy się zobaczyć. Ujrzałyśmy salę domu ludowego rozbrzmiewającą dziecińskim weselem. Pełno dzieci. Są i te z dziecińców i z młodszych klas szkolnych a wszystkie pełne niecierpliwości kiedyż nareszcie będzie to „nasze przedstawienie". Zaczęło się. Śmieszna historia zapustna w której hulają różne cudaki jak bałwan, wiatr, strach na wróble itp. Ubrana w fantastyczne stroje. Uciechy wśród małych widzów co niemiara. Młodzież zaśpiewała parę piosenek dziecińskich, potym rozśpiewały się i dzieci.

Nareszcie i dziecko chłopskie będzie miało swoje szczęśliwe dzieciństwo myślimy rozradowane.

Ostatni dzień kursu. Dr Ciekot z markowskiej Spółdzielni Zdrowia wykładał o zdrowiu fizycznym dziecka i o higienie w dziecińcu. Po południu ob. Z. Solarzowa z Uniw. Gackiego omawiała sprawę imprez dziecięcych. Prelegentka zwróciła nam uwagę, że przy urządzaniu widowisk dziecięcych zwłaszcza z dzieckiem przedszkolnym trzeba być bardzo ostrożną, aby nie wypaczyć charakteru dziecka. Dorośli muszą pamiętać, że dziecko nie po to jest, aby go bawić, bo w ten sposób wyrządzają dziecku krzywdę.

Na tych rozważaniach kurs został zakończony. Z uczuciem szczerej wdzięczności dla iniciatorów kursu prelegentów i kobiet markowskich, które nam tak życzliwie udzieliły gościny rozjechałyśmy się do domów. Te czterodniowe rozważania dały nam wiele wiadomości o dziecku i pozwoliły nam uświadomić sobie jak ważną sprawą jest kształcenie duszy dziecięcej.

Hela Świetlikówna

CIĘŻKIE ZADANIE

Nauczycielka na lekcji rysunków daje dzieciom takie zadanie.

— „Każdy z was niechaj narysuje czym chce być gdy urośnie.

Dzieci rysują. Chłopcy lotników, marynarzy, kowali, dziewczęta, krawcowe przy maszynie, gospodynie przy kuchni itd.

Jedna dziewczynka nie rysuje tylko siedzi bardzo zamyślona wreszcie zaczyna płakać.

— Co tobie Zosiu? — pyta nauczycielka

Bo ja chcę być mężatką i nie wiem jak to narysować.

Chory w domu

Ilekroć mnie wzywają do ciężko chorego, zawsze zastaję przy jego łóżku grono krewnych, kumów, sąsiadów. Mężczyźni palą, kobiety wygrzebują z pamięci różne zdarzenia z chorymi. Aż gwarno w izbie od tych opowiadań; jak to ten czy ów chorował, gdzie go bolało, jak go po różnych doktorach wozili i nic nie pomogło, musiał umierać. Takie i podobne pogwarki nie tylko nie podnoszą na duchu chorego, przeciwnie nasuwają mu najczarniejsze myśli co do swego losu.

Tyle wokół współczujących, życzliwych, ale nikt nie pomyśli, że może męczą chorego takie rozmowy, że w izbie zaduch, a od machory aż dech zapiera i zdrowego głowa rozboli, a cóż tu mówić o chorym, który ma gorączkę a jeszcze i słabe serce.

Leży sobie taki nieborak i myśli, że już nie wiele mu się na tym świecie należy, z rezygnacją oczekując lekarza.

Kobiety! wy jesteście najlepszymi pielęgniarkami chorych w swoim domu! Pamiętajcie, że wyleczenie zależy **nie tylko od lekarza, ale w dużej mierze od dobrej i starannej pielęgnacji chorego.**

Chory wymaga spokoju — to pierwsza zasada, o której należy pamiętać. Męczy go hałas, głośna rozmowa, trzaskanie drzwiami itd. **Chorego trzeba utrzymywać w pogodnym nastroju**, dodawać mu otuchy, pocieszać jeśli zbyt się przejmuje swym cierpieniem. Nie wolno w jego obecności opowiadać smutnych rzeczy o chorobie, śmierci, zmartwieniach domowych. Odwiedzać chorego można wtedy, gdy lekarz pozwoli, ale pojedyńczo i krótko.

Nie wolno odwiedzać chorych zakaźnych.

Izba, gdzie chory leży, ma być **ciepła, często przewietrzona**, a nie pełna zaduchu, że siekierę można by powiesić.

Łóżko wygodne, codzień prześcielane. Chorego trzeba podtrzymać, albo przenieść na drugie łóżko w czasie prześcielania. Ciężko chorym trzeba zmieniać kilka razy na dzień położenie, gdyż mogą się porobić odleżyny. Całe ciało chorego należy codzień wytrzeć ręcznikiem zmaczanym w letniej wodzie z octem. Okolice krzyża, łopatki, jako narażone na największy ucisk, rozcierać spirytusem. Zęby i język każdego dnia oczyścić szczoteczką i sodą lub proszkiem do zębów.

Przy łóżku chorego postawić stołek w takiej odległości, by mógł łatwo ręką dosięgnąć. Na nim herbata z cytryną lub sokiem, lemoniada, albo woda z kompotu.

Przy ciężko chorych musi ktoś stale czuwać; co kilkanaście minut zwilżać usta, podawać zapisane lekarstwa poprawić na łóżku itp.

W lecie trzeba tępić muchy, które zatruwają życie choremu, nie dając mu chwili spokoju. Ponadto muchy roznoszą zarazki chorobotwórcze. W oknach umieścić siatki muślinowe, we drzwiach prześcieradła, powiesić lepy lub rozłożyć trutki.

Oddawanie moczu i stolca powinno się odbywać przy lub na łóżku do nocnika albo specjalnego basenu. Odchodów, o ile to jest choroba zakaźna (dur brzuszny, czerwonka), nie wylewać do ustępu tylko do specjalnie wykopanego dołu i przysypywać wapnem i ziemią. Gdy chory nie ma stolca przez kilka dni, trzeba zrobić lewatywę lub dać na przeczyszczenie, o ile lekarz inaczej nie zarządzi.

Nie bójmy się wody. dbajmy o czystość chorego. Nie tylko można, ale należy go myć bez obawy przeziębienia, o ile w mieszkaniu będzie ciepło. Całe ciało wycierać ręcznikiem zmaczanym w wodzie z octem a potym do sucha. Tak samo należy kąpać chore dzieci i niemowlęta, byleby woda nie była zbyt ciepła a kąpiel długa. W przypadkach wątpliwych zwrócić się do lekarza.

Na zakończenie kilka słów o stosowaniu bez porady lekarza zabiegów leczniczych.

Przy bólach w brzuchu, zwłaszcza gdy są umiejscowione po prawej stronie i połączone z wymiotami i gorączką nie wolno dawać na przeczyszczenie. Może bowiem być zapalenie wyrostka robaczkowego (ślepej kiszki). W tym wypadku tylko śpieszna operacja w ciągu pierwszych 2 dni zdoła uratować od śmierci lub długiej ciężkiej choroby.

Przy bólach w piersiach, kaszlu, gorączce. nie zawsze dobrze robią bańki, tak często na wsi stosowane. Widziałem b. ciężki krwotok płucny po postawieniu kilkudziesięciu baniek. Okazało się, że była w tym przypadku gruźlica płuc. Natomiast w wypadku gdy niema polepszenia na gruźlicę, bańki znakomicie łagodzą dolegliwości piersiowe.

Wł. Ciekot—lekarz

Kobiety ratujmy swoje zdrowie

Gdy się zastanowimy nad tym, co jest główną przyczyną tak rozpowszechnionych na wsi chorób kobiecych, to zobaczymy, że są one wynikiem braku uświadomienia i niedbalstwa wśród samych kobiet. Zdrowia swojego które jest tak potrzebne każdej matce i gospodyni nie szanujemy.

Głównym źródłem naszych dolegliwości kobiecych na które często potem płaczemy całe życie — jest przedwczesne zrywanie się z łóżka po porodzie.

Wiemy o tym, że wtedy należy 8 a nawet 9 dni leżeć, aby dać swojemu organizmowi wypocząć, ale w życiu do tego się nie stosujemy. Już w kilka godzin, a najdalej 2—3 dni po urodzeniu dziecka położnica wstaje z łóżka i bierze się do roboty. Mąż i dzieci potrzebują przecież strawy gotowanej, krowę trzeba nakarmić i napoić wyprać bieliznę, pieluszki, i całego gospodarstwa doglądnąć, wszystko na jej głowie, bo znikąd pomocy niema i nikt jej nie wyręczy. O to przyszły w odwiedziny kumoszki i sąsiadki, ale nie poto żeby poratować chwiejącą się na nogach kobietę, której ciemno aż w oczach robi się z osłabienia. O nie, to im do głowy nie przyjdzie, przygnała ich tu ino babska ciekawość żeby się wywiedzieć jak ten połóg się odbył, czy bardzo i długo cierpiała, i czy ją akuszerka dobrze wysmarowała. To smarowanie uważają kobiety u nas za najlepsze lekarstwo po porodzie i wymagają od akuszerek, ażeby je masowały. Przesąd ten pozostał z tych czasów kiedy jeszcze nie było akuszerek tylko babki, one to tym smarowaniem położnice „leczyły", i choć potem zaraz po porodzie wstała to i tak powiadają „nic jej nie było". Leżenie po porodzie uważa się za niedołęstwo albo rozpieszczenie do którego nie wolno się przyznawać. I choć niejednej dobrze się w głowie kręci, nogi się uginają wstaje i krząta się koło komina, choć nawet jest komu zastąpić ją w robocie. Ale coby sąsiadki powiedziały, toć przecie jedna przed drugą przechwalała się jak to ona zaraz po urodzeniu wstała. Ciasto na chleb zamiesiła obiad zgotowała i nic jej nie było.

Tak ale zapytajcie jej czy jest zdrowa, to okaże się, że coś jej tam z dawna dokucza, niewiadomo skąd ta choroba się przyplątała itp... Ale ponieważ natychmiast kiedy zerwała się po porodzie, choroba jej nie chwyciła, to też nie da sobie wytłomaczyć że tu, a nie gdzieindziej należy szukać przyczyny. Czasem po pierwszym porodzie, po drugim, wszystko dobrze, ale potem za 3-cim, 4-tym dzieckiem zaczynają się rozmaite dolegliwości, bóle w krzyżach, opuszczenie żołądka, opadanie, a nawet aż wypadanie macicy itp.

Cóż dziwnego, że kobieta taka staje się coraz słabsza, że siły ją opuszczają, czuje się chora, nieraz zapada na gruźlicę i inne choroby bo organizm już jest wycieńczony i mniej odporny. Cierpi nie tylko ona sama ale dzieci dom gospodarstwo, bo wszystko jest zaniedbane tam gdzie matka i gospodyni choruje. A często potem i mąż zniechęcony ją opuszcza idzie do innych.

Same jesteśmy sobie w dużej mierze winne, gdyż za wczesne wstawanie przy porodzie, zawczesne porywanie się do roboty może spowodować różne zaburzenia chorobowe głównie w narządzie rodnym. Dlatego lepiej odżałować te parę dni i być zdrową. Jesteśmy za biedne, aby chorować. „Dobrze tak mówić, ale co mam zrobić kiedy nie ma mnie kto zastąpić w domu, i gospodarstwie nie mam już matki, a rodzina daleko odpowie niejedna. **Jest na to rada kobiety, przecież możemy organizować sobie same pomoce i każdej rodzącej zapewnić wyrękę w gospodarstwie po porodzie przez 9 dni.** Zorganizować pomoc uczciwą i rzetelną, ażeby położnica i jej rodzina mieli przez ten cały czas ugotowaną strawę i opiekę, aby dzieci były zdrowe i czyste.

Położnicy damy w spokoju w łóżku wydobrzeć, ażeby cały jej organizm wrócił do równowagi.

Prawda, że każda z nas ma swoje obowiązki, ale tyle czasu, aby poratować swoją sąsiadkę, znajdzie przy dobrych chęciach napewno. Jeśli ustanowimy kolejkę, to żadna nie będzie przeciążona, a razem spełnimy dobry uczynek. Ileż to czasu stracimy na samo gadanie bezowocne przychodząc tylko odwiedzić chorego. Współczucie okazane czynem, podbije serce najbardziej. W razie nieszczęścia drudzy nas również poratują.

Więcej dbajmy kobiety o swoje zdrowie.

Markowa.

Balawejdrowa Aniela

ORĘDOWNIK MATEK

Dzisiaj, kiedy ludzkość żyje w stałym pogotowiu wojennym, uwielbieniem otaczani są przede wszystkim wielcy wojownicy, sławni wynalazcy których odkrycia mogą być przydatne w krwawych zapasach między narodami. Z wielkim naprężeniem śledzą nieustannie wszyscy, czy rychło rozpłomieni się nad światem pożoga wojenna i człowiek rzuci się przeciw człowiekowi z niszczącym narzędziem śmierci w dłoni. Mimowoli narzuca się pytanie, czy zawsze ludzie wysilać będą swój mózg, geniusz swoich myśli na to, jak się skuteczniej niszczyć wzajemnie? Czemuż nie pracują nad wynalezieniem i pogłębieniem sposobów współdziałania między narodami świata?

Ach, wyrwijmy się na chwilę z tego strasznego przygniotu, lęku o jutro, zapomnijmy o kłopotach codziennego dnia, sięgnijmy myślą dalej, a odnajdziemy wiarę wczowieka która nas pokrzepi.

Zawsze byli, są i dziś cisi pracownicy, którzy złożyli ludzkości dary swego talentu, ofiarowali wszystko co mieli w sobie najlepszego, aby nieść człowiekowi dobro i szczęście. Umierali bardzo często zapomniani, wyszydzeni w nędzy; dopiero jak ich nie stało, oceniono wielkość prawd i myśli, które głosili.

Byli między nimi i tacy, którzy pracowali nad tym jak uchronić człowieka przed śmiercią. Jednym z nich, którego imię wszystkim kobietom szczególnie winno być znane i drogie, był zmarły 75 lat temu lekarz węgierski Semmelweis. Wyróżnił się tym, że gorąco pragnął przyjść z pomocą matkom rodzącym i uchronić je przed śmiercią. On to pierwszy znalazł prosty sposób zwalczania gorączki połogowej (zakażenia krwi).

A była to w ówczesnych czasach straszna choroba zabierająca tysiące ofiar z pośród młodych kobiet. Nau-

ka nie znała istotnej przyczyny tej choroby i nie umiała z nią walczyć.

W kwietniu 1844 r. a więc 95 lat temu rozpoczął dr. Semmelweis pracę jako młody lekarz na oddziale położniczym w jednym ze szpitali wiedeńskich. Pełen dobrej wiary zaczął asystować kobietom, kiedy przechodziły piekło pierwszego porodu... opuszczał je wycieńczone bólem, ale zaróżowione i piękne szczęściem matek, które mogą tulić do piersi i pieścić swój drobiazg... Minęły dwa dni... tu i tam na sali szpitalnej rumieniec szczęścia przybiera ponurą barwę czerwieni, znak silnej gorączki. Po upływie trzech dni... — Semmelweis wzdryga się słysząc jak czułe słowa, szeptane do dzieci, przerywa jęk bólu, który szarpie wnętrze chorej matki. „Niema obawy, wszystko będzie dobrze“ — mówił wtedy do chorych i co raz mocniej był przekonany, że kłamie, pocieszając je w ten sposób.

Kobiety patrzyły na niego z lękiem a języki ich były suche, kiedy błagały o wodę, zawsze o wodę i tylko o wodę. Starał się uśmiechem zbyć ich przerażenie, gdy naciskał puls który bił szybciej, coraz szybciej i coraz słabiej, aż wreszcie nie dało go się już wyczuć.

Cztery dni... Semmelweis ciągle jeszcze łudzi je i ukrywa prawdę, wypytując nieszczęsne o imiona niemowląt, aby nie okazać przerażenia na widok tych szczególnych błękitno—fioletowych plam, które występują na ich rękach i nogach. Także ciężko patrzeć na ich woskowe twarze i słuchać szeptu bladych warg. „Już lepiej, ból ustał prawie zupełnie, doktorze“. Odwracał twarz, aby ukryć przed nimi pewność, że ta poprawa to już dobroczynna przepowiednia śmierci.

W czasie swego pobytu w szpitalu na przestrzeni 2 lat dr. Semmelweis widział, jak kobiety marły masowo. Nieraz cały rząd łóżek na sali padał ofiarą gorączki połogowej. W jednym tylko r. 1846 w tymże szpitalu zmarło 451 położnic.

To samo działo się na całym świecie. Położnice umierały w dziesiątkach tysięcy. Co pewien czas epidemia gorączki połogowej tak straszne przybierała rozmiary, że trzeba było zamykać szpitale położnicze.

Poszukiwanie ratunku

Semmelweis nie mógł przyzwyczaić się jak inni lekarze do widoku młodych umierających matek. Zamęczał swoich przełożonych, starych praktyków, dociekaniami przyczyn tego strasznego stanu. Niestety nauka ówczesna nie miała odpowiedzi. Nie wiedziano, że zakażenie krwi wywołują zarazki ropne, które znajdują się wszędzie w otoczeniu a gdy się dostaną do krwi powodują chorobę i śmierć. Ale zarazki zostały odkryte wiele lat później. Semmelweis i współcześni mu uczeni nie domyślali się ich istnienia.

Z pasją oddał się dr. Semmelweis badaniom. Badał trupy zmarłych położnic, szukając w ich spalonym gorączką ciele odpowiedzi na dręczące pytanie. Potem biegł na oddział, dodawał otuchy cierpiącym niewiastom badając je, czy bliski już czas rozwiązania.

A kobiety umierały... dochodziło do tego, że na 100 porodów było 30 zgonów. Nie widać było wyjścia z tego błędnego koła.

Dopiero przypadek pomógł zrobić genialne odkrycie. Oto pewnego dnia dowiaduje się dr. Semmelweis że jego kolega lekarz zmarł na zakażenie krwi, zadrasnąwszy się nożem, którym krajał trupa. W tym momencie, kiedy się o tym dowiaduje, błyskawicznie zrozumiał wszystko. Zrozumiał, że to jad trupi, który dostał się z noża przez rankę do krwi, wywołał śmierć organizmu. Nareszcie znalazł przyczynę śmierci tych tysięcy nieszczęsnych kobiet. Ale jakże strasznie wstrząsające było to odkrycie. Oto lekarz, który przed chwilą ukończył krajanie zwłok, bądź jakąś operację, szedł potem do położnicy, badał jej narządy rodne i na rękach swoich przenosił zarazki gorączki połogowej.

Zauważono, że umierały głównie te kobiety, które rodziły poraz pierwszy, miały ciężkie porody i musiały być badane wewnętrznie przez lekarzy. Te, których lekarze nie badali, unikały śmierci. Lekarze więc byli nieświadomymi sprawcami śmierci.

Ale nie wiedziano, jak wspomniałam, nic o istnieniu zarazków. Ręce przed badaniem myto w wodzie z mydłem, takie mycie było jednak nie wystarczające, gdyż nie zabijało tych strasznych zarazków.

Dopiero dr. Semmelweis zrobił genialne i bardzo proste odkrycie, że lekarz musi zniszczyć na swoich rękach najmniejszy ślad ropy. I sam zaczyna nadzwyczaj starannie przed badaniem położnic myć ręce. Myje długo w wodzie z mydłem, a potem jeszcze zanurza je w wodzie z chlorem wapnia, który jest silnym środkiem odkażającym.

Wyśmiewają się koledzy lekarze, studenci, służba z przesadnej czystości Semmelweisa, nazywają to dziwactwem i t. p. Ale już w krótkim czasie Semmelweis osiąga nadzwyczajne wyniki. Śmiertelność na jego oddziale spada wybitnie. Na 100 rodzących umiera już nie 30 jak uprzednio, a tylko jedna kobieta.

Semmelweis dowiódł że przez zwyczajne odkażenie rąk środkiem, który za parę groszy można kupić w aptece, można zapewnić położnicy ochronę przed śmiercią, dziesiątkującą przez tyle wieków nieszczęsne matki.

Semmelweisowi świat naukowy i lekarski odrazu nie uwierzył. Zbyt proste i straszne było to odkrycie. Zastanowiło to jednak wielu, pobudziło do badań i powoli wszyscy lekarze na całym świecie przyjęli jego poglądy.

H. Ciokotowa

KŁOPOT

Późno w noc stukają do drzwi, gospodyni otwiera w mroku stoi czterech pijanych mężczyzn.

— Czego chcecie—zapytuje ostro.

— Wy... wy... baczcie... czy wy nie jesteście Karpielowa

Ja — a czego?

— Jeden z nas... wasz... mąż... ale my nie wiemy... który...

Prenumerata — „Kobieta Wiejska“ — wynosi: kwartalnie 1·— zł półrocznie 2·— zł rocznie zł 3·50.

CENNIK OGŁOSZEŃ: cała stron. — 200·— zł ½ str. 100·— zł — ⅛ str. — 50 zł. — Za treść ogłoszeń Redakcja nie odpowiada.

Redaktor i Wydawca: HANNA CIEKOTOWA

Adres Red. i Adm.: „Kobieta Wiejska“, Markowa k/Łańcuta, Spółdzielnia Zdrowia. Numer Rozrachunku 1.

Drukarnia Literacka Kraków, Pl. Zgody 4. Telefon 185-18.